DAGUEROTYPY WARSZAWY.

TOM SZÓSTY.

POSZYT XIX. XX. i XXI.

DAGUEROTYPY WARSZAWY.

DAGUEROTYPY
WARSZAWY

ROMANS OBYCZAJOWY

przez

Edwarda Bogusławskiego.

TOM VI.

WARSZAWA,
w Drukarni Stanisława Nowakowskiego
przy ulicy Długiéj Nr. 557.
(w domu dawniéj Potkańskie zwanym.)

—

1847.

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby Egzemplarzy.

w Warszawie d. 25 (9) Marca 1847 r.

Cenzor Niezabitowski.

I.

MARYA.

—

Litości!... łaski!—zawołała Marya wyciągając ręce—panie, wyswobodź mnie z tych hańbiących sukien... wyrwij z miejsc, w których tylko zbrodnia i występek mają swe mieszkanie... nie odwracaj się... bądź litościwym... usłysz mnie... usłysz!... Gustawie!... przez pamięć téj miłości jaką mi tyle razy przysięgałeś..., przez pamięć chwil szczęścia jakie z sobą spędziliśmy... bądź litościwszym... wysłuchaj méj prośby... ach!

ja nie wiele żądam... tylko niech umrę patrząc na ciebie... niech ostatnie słowa jakie usłyszę na ziemi z twoich ust pochodzą... potém, już nie będę ci natrętną.. ja umrę.

Z zupełną pewnością Marya wymówiła ostatnie słowa.

Gustaw jeszcze nie umiał słów znaleść aby odpowiedzić Maryi — jeszcze nie przyszedł do siebie z osłupienia, w jakie wprawił go ten niespodziewany wypadek, kiedy nagle, Kamilla, która przez cały ciąg mowy Maryi pilnie wpatrywała się w oblicze młodéj dziewczyny, rzekła:

— Czy to ty Maryo!?... w tém ubraniu... w tak dziwném położeniu?... co to ma znaczyć?... czemu odeszłaś od twoich rodziców?

— Tak to ja—odpowiedziała Marya podnosząc twarz odbijającą w sobie okropne cierpienia duszy — to ja, córka sekretarza twego męża pani... ja to jestem tą Maryą, którą na wsi widziałaś tak wesołą i swo-

bodną... a dziś stoję przed tobą biédna i wzgardzona... lecz czy wiész co mię zmieniło tak okropnie?... oto miłość jakiéj pozwoliłam przystępu do mojego serca.

Kamilla zadrżała—i ona bowiem czuje w swém łonie to uczucie, jakie tę nieszczęśliwą na tyle wystawiło katuszy—i ona kocha—a kocha tegoż człowieka, który był piérwszą sprężyną nieszczęść téj biédnéj istoty.

Współczucie na cierpienia Maryi, otworzyły do litości serce Kamilli. Młoda kobiéta, nachyla się do klęczącéj, i stara się ją podnieść i uspokoić.

Jeszcze nie przestała swych starań, kiedy niespodzianie uczuła rękę jaka odsuwała ją od przedmiotu jéj zajęciu, i srébrny, dźwięczny głos Gustawa, zabrzmiał po cichu—pieszczotliwie:

— Kamillo... co czynisz... nie unoś się niewczesną litością dla dziéwczyny któréj nie znasz... umyślnie widać użyła ona tego

wybiegu ażeby prędzej wyłudziła jałmużnę.

Kamilla spojrzała w twarz mówiącego, i zdziwiła się, widząc szczérość i prawdę na niéj odbitą; zwróciła oczy na Henryka Aurelią i otaczający ich tłum i zmięszała się widząc, że jest przedmiotem powszechnego, natrętnego zajęcia—usłyszała szepty—ujrzała dwójznaczne spojrzenia—i domyśliła się, że do niéj one się ściągały—wnet przeto musiało runąć tkliwe zajęcie się Maryą, jakie już zaglądało do jéj serca, i ustąpić miejsca dumie i pogardzie.

Gustaw skinieniem ręki dał znak strażnikowi, ażeby zabrał Maryą.

— No... pójdź... pójdź... dosyć tych scen—rzekł on, biorąc wpół Maryą—pójdź... nie mamy czasu czekać za tobą... i tak już późno... daléj!... prędzéj!... zabieraj się.

— Dozwól niech choć chwilę pozostanę jeszcze... niech usłyszę wyrok z ust tego

człowieka—i znowu wyciągnęła ręce do Gustawa... przyczołgała się do stóp jego.

— Panie!—zawołał Gustaw na strażnika—raz uwolnij nas od natręctwa tej waryatki—albo sam sobie winę przypiszesz... gdy będziesz musiał odpowiadać za jej postępki.

— Czy słyszałaś?—rzekł do Maryi dozorca—miałbym cierpić dla ciebie — no... pójdź... już ci nie dozwolę ani chwili dłużej, naprzykrzać się temu państwu.

W tej chwili właśnie, służący dał znać Aurelii, że już uprząż naprawioną została, mogą więc wsiadać.

Aurelia, która od niejakiego czasu uważała na zakłopotanie Gustawa, rada była tej wiadomości, jej bowiem teraz najłatwiej było usunąć z przed oczu Kamilli, tę dziwaczną, smutną scenę.

— Moja duszko — rzekła więc do kochanki Gustawa—pójdź odjeżdzamy.

— Odjeżdzamy... a ta dziewczyna... trze-

ba by jéj w czém poradzić—odpowiedziała Kamilla.

— Miéjże rozsądek—i nie unoś się litością dla piérwszéj lepszéj włóczęgi... słusznie ci w tém razie powiadział Gustaw, że umyślnie mogła wywołać tę scenę, ażeby prędzéj pobudzić do współczucia nad swą mniemaną niedolą... Jeżeli więc chcesz koniecznie, możesz jéj co dać... albo czekaj, ja prędzy znajdę drobne, a ty wsiądź tym czasem.

Aurelia wyjęła piéniądz i z dumą rzuciła go Maryi—mówiąc:

— Masz... idź precz.—A zachęcając Kamillę do prędszego zajęcia dawniéjszego swego miejsca, sama obok niéj usiadła i skinieniem głowy przywołała Henryka i Gustawa, aby również ją naśladowali.

Henryk milcząc wsiadł do powozu—w umyśle jego, dziwna teraz panowała mięszanina: miłość Kamilli o któréj wiedział że była zamężną—to pojawienie się Maryi

okrytéj suknią kobiety z domu *przytułku i pracy* — ta jéj mowa, wykazująca, że została uwiedzioną i zchańbioną przez tegoż Gustawa, którego w téj chwili, widzi tak bardzo zajętym Kamillą—razem wtłoczyły się do jego muzgu i tak dalece pomięszały myśli, że wpadł w rozpacz, widząc, jak trudno mu będzie oddzielić jedno od drugiego—ażeby kilkoma świeżymi nowinkami, popisać się w salonach.

Gustaw również nic nie mówił, lecz on z innych czynił to pobudek: nagłe okazanie się Maryi—jéj mowa—jéj postać, wykazujące rozpacz i cierpienie, na nowo obudziły w nim przytłumione na jakiś czas wyrzuty sumienia—jakie stały się jeszcze sroższemi, gdy uważniéj spojrzawszy na Maryą, poznał stan w jakim była — poznał, że nie wiele trzeba, ażeby się stał podwójnym mordercą.

Odwracając więc oczy od tak okropnego widoku, jak szalony wskoczył do powozu i rozkazał woźnicy, ruszyć.

— Widzisz... nie wiedzić za co zarobiłaś kilkanaście groszy—rzekł strażnik, któremu nakoniec udało się podnieść Maryą.

— Dziewczyna nic nie odpowiedziała— opuściła rękę — pieniądz potoczył się po bruku...

— No... głupia!.. czemu rzucasz... nie tak łatwo znaleść... a...—jak Boga kocham!.. to złotówka—dodał podnosząc pieniądz—no... masz... co ci dano i dalej marsz.

Właśnie w tej chwili powóz ruszył.

— Pojechał... wzgardził... odepchnął... dozwolił ażeby mnie poniżoną jałmużną— wyszepnęła cichym, urywanym głosem Marya—ach! i po cóż żyję... o! ja umrzeć powinnam.

I z rezygnacyą, zbiérając wszystkie siły, przecisnęła się przez tłum i poszła do reszty swoich towarzyszek.

— Czy rozumiesz co z tego? — zapytał jeden z gromady, zwracając się do stojącego

przy nim parobka — bo co ja, to ani słowa nie pojmuję.

— Tyle wiém, *że ta kobieta*, nie zdaje się być *w zwyczajnym swoim* stanie.

— Ot... *głupi!..* powiedział mi nowinę!.. alboż *sam* nie mam oczów... bo przecież *trzeba* być ślepym, ażeby nie dojrzyć tego, *co* jest jawném jak na talérzu.

— Szkoda, że ci państwo tak prędko odjechali—odezwał się inny — możebyśmy czegoś więcéj się dowiedzieli.

— To prawda.

— Mniejsza *oto!.. co tam*—zawołał wy*soki mężczyzna* jeden z tych, który piérwszy rzucił się dla zatrzymania koni—niech ich djabli wezmą! Kiedy mi nic nie dali... myślałem że zarobię choć z dziesiątkę... a tym czasem masz tu jedno z drugiém nic.

— A czemuś się nie przypomniał—rzekł parobek.

— Tak... miałem się przypomnić, może wtenczas, kiedy ta łajdaczka, któréj jeszcze

dali złotówkę, rzuciła się pod nogi tego strojnego panicza... przecież nie wypadało... potém zaś pojechali tak prędko, tak niespodzianie, iż nie miałem nawet czasu zebrać myśli.

— Chuchaj więc bratku w palce—zawołał ulicznik, pokazując *figę* mówiącemu.

— Milcz mały... albo....

I mężczyzna pogroził chłopcu.

Tak rozmawiano po oddaleniu się Maryi i odjeździe ekwipażu, aż nakoniec, znudzeni gawędą, powoli rozeszli się w różne strony, i z całego tłumu nikt więcej nie pozostał.

*
* *

Sądzą, że zbytecznem by było powiadać, iż po tém nagłem wypadku, jak Aurelii, tak i pozostałym jéj towarzyszom, odechciało się wycieczki na wiejską kawę.

Ograniczono się na herbacie, na jaką Baronowa zaprosiła do siebie Kamillę i dwóch młodzieńców.

Długo pani Dańska, wzruszona wypadkiem, jaki tylko co przed jéj odbył się oczyma, nie chciała zgodzić się na życzenia Aurelii.

Lecz nakoniec, ta ostatnia przemogła i powóz zatrzymał się przed jéj mieszkaniem na ulicy Senatorskiéj.

Udano się na górę.

Nie powiém nic jak przepędzono resztę wieczoru, i jak Gustaw uspokoił Kamillę względem pojawienia się Maryi—tyle tylko dodam, że kiedy w kilka godzin, Gustaw sprowadzał Kamillę do powozu, ta z zupełną swobodą opiérała się na jego ramieniu, a jéj ręka nie znacznie odpowiedziała, na wymowny jego dłoni uścisk.

— Wszak jutro będziesz u mnie? — zapytała.

— Będę — odpowiedział Gustaw i zamknął drzwi powozu.

Ostatnie słowa usłyszał również w téj chwili schodzący Henryk, a dodawszy do

tego to co mu przed niejakim czasem mówiła Aurelia, wyprowadził wniosek, że Gustaw kocha się w Kamilli — że bardzo często, a może nawet codzień, miewali schadzki w letniem mieszkaniu pani Dańskiéj—i że nakoniec, Marya, niegdyś, musiała być kochaną przez Gustawa.

Że dobrze odgadł, sami mu to przyznać możemy.

Tak uporządkowawszy wszystkie wiadomości, jakie zebrał w ciągu dnia dzisiejszego, Henryk zatarł ręce, ciesząc się, że będzie miał tak dużo nowości do rozpuszczania ich po salonach.

* *

Nazajutrz rano, w domu *przytułku i pracy*, znaleziono w jedném z łóżek, kobiétę nie żywą i już zimną; jéj dłonie silnie zaciśnięte były około szyi—tym sposobem ta nieszczęśliwa odebrała sobie życie.

Gdy przystąpiono do szczegółowéj rewizyi, przekonano się, że była to taż sa-

ma dziewczyna, jaką przed dwoma miesiącami, ujęto w domu przy ulicy Czerniakowskiej, wraz z trzema mężczyznami obwinionemi o kradzież, która na najusilniejsze nalegania, nie chciała powiedzić swego nazwiska, i tylko prosto kazała się mianować Maryą.

Takim sposobem spełniły się pogróżki sumienia, jakie groziło Gustawowi podwójną zbrodnią—nie na Maryi bowiem ciężyło jéj samobójstwo, lecz Gustaw był za nie odpowiednim, jako ten, który popchnął ją do niego.

na dziewczyna, jaką przed dwoma miesią-cami, ujęto w domu przy ulicy Czerniakowskiej, wraz z trzema mężczyznami obwinionemi o kradzież, która na najusilniejsze nalegania, nie chciała powiedzieć swego nazwiska, i tylko prosto kazała się nazywać Maryą.

Takim sposobem spełniły się pogróżki sumienia, jakie groziło Gustawowi podwójną zbrodnią—nie na Maryi bowiem cięży-ło jej samobójstwo, lecz Gustaw był za nie odpowiedzialnym, jako ten, który popchnął ją do niego.

II.

DZIEŃ ŚWIĘTEJ SALOMEI.

NADSZEDŁ nakoniec dzień, w którym pani Wizińska, zamówiła Henryka do towarzyszenia sobie do domu pani Wróżyńskiej. Z nią razem, liczne grono gości, miało zapełnić obszerne salony; w téj liczbie był i Konrad Robiński.

Konrad, niegdyś zakochany w Laurze, lubo tylko pogardą i obojętnością mu odpłacano, nagle uczuł w swéj duszy rodzącą się nową miłość dla czystéj, prostéj Zo-

fii. Nie stopniowém było to uczucie; nie powoli nazwyczajał się do myśli, że Zofii odda swe serce — lecz uczynił to nie wiedząc kiedy—uczynił, bo mu błogo, rozkosznie było, kochać tę tkliwą, niewinną duszę.

Wszedłszy raz piérwszy w dom pani Wróżyńskiéj, Konrad, jak najuprzejmiéj od niéj przyjęty, powoli, stawał się coraz częstszym gościem—bardziéj z nią poufałym—bardziéj w niéj rozkochanym.

Bo też nie można było być innym przy tém niewinném dziewczęciu—które nie znając co to fałsz i obłuda—brzydząc się udawaniem, nie kryła się ze swą miłością, lecz przeciwnie dozwalała Konradowi jasno, wyraźnie czytać w swojém sercu.

I Konrad pojął i zrozumiał ją.

Odtąd, biegły im chwile szczęścia i miłości—i lubo Konrad, nawet wzmianki nie uczynił o swojém przywiązaniu ono jednak, nie było tajném ani dla córki, ani dla

matki, i pani Wróżyńska z widoczném pobłażaniem, bardzo podobném do zadowolenia, spoglądała na stosunki istniejące pomiędzy Zofią a młodzieńcem.

W takim były stanie rzeczy, kiedy nadszedł dnień Świętej Salomei a z nim, imieniny pani Wróżyńskiéj.

Piérwsza Zofia złożyła matce życzenia— pani Wróżyńska pieszczotami i uściski okryła za nie swą córkę. Wkrótce też potém nadszedł i Konrad — matka Zofii również okazała się przychylną dla niego.

Za niemi i więcéj przybyło winszujących, których liczba o wiele się powiększyła za nadejściem wieczora, i rozpoczęciem balu.

Już zaczęła się zabawa, kiedy przybyli: pani Wizińska, Laura i Henryk. Gospodyni uprzejmie ich powitała, Zofia zbliżyła się do Laury ażeby ją uścisnąć.

— Jak się masz... jak się masz—zawo-

łała — już myślałam, że zapomniałaś o obietnicy.

— Widzisz że nie... ale pozwól moja droga, niech choć cokolwiek poprawię ubioru.

Zeszło dobre pół godziny nim Laura została gotową do okazania się w salonie.

Nakoniec w towarzystwie Zofii weszła do niego.

Pani Wizińska, mniéj troszcząca się o swą toaletę, piérwéj już wprowadzona przez panią Wróżyńską, zajęła jedno z krzeseł pomiędzy mężatkami.

— Ach... pan Konrad!—zawołała Laura poznawszy kłaniającego się jéj młodzieńca—i cóż tu porabiasz?—zapytała szyderczo przygryzając wargi—czemu tak dawno u nas nie byłeś?

— Pani sama wiesz... po co się więc pytać—odpowiedział Konrad.

— Ja wiém?... chyba się panu zdaje.

— Mogę się przypomnić pani — rzekł Henryk, przystępując do Zofii—przecież się

już znamy... miałem to szczęście widzieć panią.

— Czy poznajesz go?... to pan Potrzaski,—rzekła Laura.

— Przypominam sobie — odpowiedziała Zofia, obojętnie kłaniając się młodzieńcowi.

— Kiedy tak—zączął znów Henryk—czy będę więc mógł, prosić panią do pierwszego kontredansa?

— Przepraszam bardzo... lecz już jestem zamówioną.

— Wielka szkoda!.., muszę zatém wyrzec się tego szczęścia.

— Słusznie że Zofia odmówiła panu—rzekła Laura—jest to bowiem sprawiedliwą dla ciebie karą za zapomnienie.

— Ja się zapomniał?... w czém?

— Oh!... to mi dopiero pamięć... a przecież nie ma dwóch godzin, jak mnie pan zamówiłeś do pierwszego kadryla... przypomnij sobie... było to u nas... nie długo przed naszém tu przybyciem.

— Ach!... prawda... przebacz mi więc pani i dozwól, niech teraz powtórzę *toż* samo zaproszenie.

— Przebaczam i przychylam się do pańskich życzeń—rzekła Laura — témbardziéj—dodała ciszéj,—że mi obiecałaś coś ważnego powiedzić, podczas *tańca, najstosowniéj* będzie to zrobić.

Zagrzmiała muzyka—zewsząd powstali mężczyzni i przystąpili do dam — Konrad pobiegł do Zofii—Henryk do Laury.

— A więc to Konrad zamówił pannę Wróżyńską—rzekł Milioner, podając rękę swéj tancerce.

— Nie wiedziałeś o tém... nie domyśliłeś się tego—odpowiedziała Laura a jednak ja odrazu wszystko odgadłam.

Zaczęła się figura, Laura tańcząc obok Henryka, przypomina mu o uczynionéj poprzednio obietnicy.

— Co pani chcesz odemnie? — zapytał Henryk.

— Udawaj że nie wiész—odpowiedziała Laura—a przecież miałeś mi odkryć tę jakąś, tak wielką tajemnicę.

— Ach... to tę tyczącą się Gustawa i pani...

— Co... a więc to o Gustawie Karwicz masz mi mówić — zawołała przerywając Laura—ach cóż takiego o nim się dowiedziałeś?... mów... mów prędzéj.

— Dla czego to tak bardzo panią obchodzi?—zapytał podejrzliwie Henryk.

— Nic — odpowiedziała Laura, uważając, iż niechcący o mało co się nie wydała ze swemi wyrachowaniami, jakie czyniła *a conto* młodego Barona.

— Jednak przed chwilą mówiłaś pani z takim zapałem... iż mógłbym sądzić.

— Nic nie sądź... nic nie sądź... bo się możesz omylić... no! o czém to takim chciałeś mi mówić?

— Dobrze... natychmiast będziesz pani

wszystko wiedziała, pierwej jednak, chciej mi powiedzić, czy nie znasz czasem pani Dańskiéj?

— Blisko nie... lecz słyszałam o niéj... do czegóż jednak potrzebna panu ta wiadomość? jakiż ma związek pani Dańska z Gustawem?

— Większy jak możesz myślić... gdyż trzeba ci wiedzić, że Gustaw w niéj się kocha.

— Kto... Gustaw?—i twarz Laury nagle zbladła—eh! chyba się panu zdaje.

— Nie pani... mówię na seryo... bo mam dowody.

— Dowody... i jakież?

— Posłuchaj co pani powiem, a sama przekonasz się, że mam słuszność.

— No... mów pan prędzej — zawołała niecierpliwie Laura, zapominając się tak dalece, że zaczęła inną figurę kontredansa, a nie tę, która następowała.

— Panno Lauro mylisz—rzekł Henryk, teraz trzecia figura.

— Prawda—odpowiedziała Laura, starając się swój błąd naprawić.—No zaczynaj pan raz swoją powiastkę—dodała podając rękę Henrykowi do *en avant deux*.

— To nie *powiastka*... lecz szczéra prawda—odpowiedział Henryk.

— Mów więc tę prawdę... bardzom rada ją usłyszyć.

Tak wyzwany Henryk, opowiedział Laurze, o swéj wizycie w domu Baronowéj — o wiejskiém mieszkaniu Kamilli—o jéj miłości dla Gustawa, jaka, musiała już zajść bardzo daleko, kiedy Kamilla zezwalała sam na sam z obcym dla niéj młodzieńcem, i nakoniec, o rozbieganiu się koni i nagłém pojawieniu Maryi—jak można się było domyślić, również kochanki Gustawa.

Opisać co się działo w sercu Laury, przez czas, kiedy Henryk opowiadał jéj powyższe wypadki—skréślić zazdrość, jaka

nią miotała, słysząc o tak gorszącej niestałości tego, do którego miłości sądziła, że sama wyłączne ma prawo — napróżno bym się silił, napróżno chciałbym opisać to, czego moje pióro nie zdolneby było określić—nie uczynię więc tego, i na nowo zwrócę uwagę czytelnika na dalszą rozmowę, jaką prowadzili Laura i *Henryk*.

— Mówisz więc pan—rzekła nakonicc Laura—że bardzo częstemi są ich schadzki.

— Ni mniéj... ni więcéj tylko codzień.

— Lecz jak to być może, że pan Dański jest tak obojętnym, i pozwala żonie na podobne postępki.

— Raz że o nich nie wié, a *powtóre*, że u niego pieniądze są wszystkiém, może więc umyślnie udaje nic nie widzącego.

— O nie... to być nie może... nie był by przecie tak bardzo nie czułym na własny honor.

— No... to może i nie wié.

— Jakim jednak dzieje się sposobem,

że Gustaw tyle razy bywający u pani Dańskiéj, dotąd nie miał z nim spotkania.

— Kto o tém wie... może się i spotkali... nic bym jednak za to nie dał, że Dański wcale nie zna Gustawa, Kamilla bowiem mieszka zupełnie osobno... w maleńkiéj wilii, o kilka wiorst od Warszawy.

— Jakto przebywa w letniém pomieszkaniu... teraz... w Listopadzie?

— Tak... i to właśnie najlepszym jest dowodem, że Dański nic nie wie.

— Lecz będzie wiedział — pomyślała Laura, któréj gniew, zazdrość i oburzenie doszły najwyższego stopnia — i natchnęły ją chęcią co rychlejszéj zemsty, jakiéj aby zadosyć uczynić, do wszystkiego gotową była.

*
* *

Zupełnie przeciwna od powyżéj przytoczonéj rozmowy, toczyła się pomiędzy Konradem a Zofią.

Tych dwoje ludzi, zajętych sobą i ko-

chających się nawzajem, wspólny ożywiał zapał, jakiemu więcej jeszcze przydawały uroku szczérość i prostota, jakiemi odznaczały się ich słowa.

— Panie Konradzie — rzekła nakoniec Zofia—czy pamiętasz dzień, w którym raz piérwszy zobaczyliśmy się?... wtedy również bawiono się... również grzmiała muzyka... lecz wtedy, ani razu nie raczyłeś pan ze mną tańczyć.

— Bo wtedy nie znałem ciebie pani— odpowiedział Konrad, lekko ściskając rękę dziéwicy.

— Powiédz lepiéj—odpowiedziała Zofia z naiwnym uśmiéchem — że wtedy, zajęty byłeś inną kobiétą... ze wtedy kochałeś.

— Czy kochałem... na to nie umiałbym odpowiedzié i prędzéj uwierzyłbym, że nie miłością było to uczucie, jakie płonęło w mojém sercu, dla panny Laury.

— Nie uwierzysz pan, jak wtedy było mi przykro, widząc obojętność jaką darzy-

ła cię Laura, patrząc, na jej tak zimne z tobą postępowanie—tyle pewno cierpiałam ile i ty.

— Bo ty Zofio jesteś Aniołem — odpowiedział Konrad,tkliwie spoglądając na swą kochankę—kto ciebie otrzyma, ten zyska niebo na *ziemi*... ten prawdziwie będzie szczęśliwym.

— Daj Boże! aby spełniły się pańskie słowa—odpowiedziała Zofia—bardzo bym pragnęła być taką, jaką mnie pan wystawiasz.

— Jesteś nią i bez tego... ja ci o tém mówię... a wiész przecie, że nie lubię... że nie umiém pochlebiać.

— Wierzę ci też... zupełnie ci wierzę— odpowiedziała Zofia i nieznacznie uścisnęła dłoń młodzieńca—i dla tego że ci wierzę, jestem z tobą tak szczérą... tak otwartą... może się to nie należy... może złém jest podobne postępowanie... jednakże ja nie mogę być z panem inną... nie moją jest

winą, że zdaje mi się, iż nie jesteś dla mnie obcym... iż, za brata prawie muszę cię uważać.

— A jednak ja nie chciałbym być bratem pani—rzekł Konrad— brat... o! prawdziwie wielkie by to było szczęście, nazywać siostrą, podobną *tobie* istotę... lepiéj jednak że nią nie jesteś.

— I czému?

— Czemu—powtórzył Konrad—ale nie... źle... niewłaściwie powiedziałem... czemu by te złém być miało... przeciwnie... to by dobrze, bardzo dobrze było... bo...

Konrad nie dokończył, a przechodząc na drugą stronę, jak wypadało z figury kadryla, rad był, że się tym sposobem uwolni od dalszéj odpowiedzić. Ale Zofia nie chciała na tém poprzestać, jak tylko bowiem zeszli się znowu, zapytała:

— Jeszcześ pan nie dopowiedział wszystkiego... słucham więc cię.

— Doprawdy nie wiém już o czém mówiłem... zapomniałem...

— Tłomaczyłeś się mi, dla czego byś nie chciał być moim bratem.

— Przecież na końcu twierdziłem inaczéj.

— Prawda... to jednak bo, co miało znaczyć.

— Nic... zupełnie nic... tak, nie chcący mi się wymknęło.

— I po cóż to udawanie panie Konradzie, na co ta nie szczérość, czyż sądzisz mnie niegodną do prostéj, otwartéj mowy... ach, do mnie tylko podobnie mówić można.

— Nie przeczę... jeżeli jednak ważne pobódki nie pozwalają mi odkryć ci wszystkiego co mój umysł... co moje myśli zajmuje.

— *Pobódki*... i jakież one być mogą... nie panie... nie Konradzie... nie wierzę ci.

— Wierz zupełnie, bo tak jest w ista-

cie—odpowiedział cichym głosem—to bowiem co chciałem ci dopowiedzić... mogło by cię bardzo... nadzwyczaj obrazić... mogła byś mi nigdy tego nie przebaczyć.

Zawczasu powiadam, że przebaczę—odpowiedziała również po cichu Zofia — i na dowód, masz moją rękę...

I z naiwnym, pełnym wdzięku giestem, wyciągnęła do Konrada maleńką dłoń swoją.

Konrad pochwycił ją — a nie zważając że w koło mnóstwo otaczało ich postaci, przycisnął rękę Zofii do rozpalonych ust swoich.

— A więc dowiédz się—wyszepnął—że ciebie kocham... że ciebie ubóstwiam... że bez ciebie nié masz dla mnie szczęścia na ziemi.

— Z tém więc tak się kryłeś, rzekła lekko rumieniąc się Zofia—i potrzebnież ci to czynić było... czyż sądziłeś, że bym się mogła gniewać o to na ciebie, kiedy sama swém postępowaniem, ośmieliłam cię do po-

dobnego wyznania... o nie..., nie... nigdy jak i w tym razie, myśl obrazy nie stanęła w mojém umyśle.

— Czyż nie słusznie więc nazywają cię Aniołem—rzekł Konrad—bo czyż nim nie jesteś?

— *Nie jestem niczém więcéj jak tylko kobiétą.*

— Ale jaką kobiétą?

W téj chwili zakończył się kontradans, kawalerowie odprowadzili swoje damy na ich miéjsca — Zofia zajęła krzesło obok Laury.

Jeszcze Konrad stał przed nią, kiedy wszedł służący, a zbliżywszy się do niego, oddał mu list.

— Proszę pana—rzekł lokaj—tylko co posłaniec pocztowy przyniósł go i kazał panu oddać.

— Któż mu polecił aż tutaj mnie szukać? zapytał Konrad, przypatrując się adresowi, po którém poznał rękę swego ojca.

— Był z nim w domu pana — odpowiedział służący—lecz powiedziano mu, iż ciebie nie ma, że jednak to pismo ma być bardzo pilne, wywiedział się gdzie pan poszedłeś i przyszedł aż tutaj.

— Dobrze.,. możesz odejść... zaraz przeczytam.

Lokaj oddalił się.

Konrad przeszedł do drugiego pokoju, ażeby tu, zająć się otworzeniem przyniesionego mu listu, lecz nie zdołał jeszcze progu przestąpić, gdy uczuł się pochwyconym za ramię, i wnet zabrzmiał przytłumiony głos Henryka;

— Mogę panu powinszować.

— Czego?.. zapytał zdziwiony Konrad.

— Nie wiesz... a przecie każdy domyślić się może, że jesteś kochanym.

— Ja?... od kogo.

— A przecież od panny Zofii, *parole d'honneur* nie zła partya... panienka pieniężna... a przytém jedynaczka... *vraiment*

ładną zrobisz partyą... można by ci pozazdrościć.

— Daruj pan... lecz nie mam czasu... muszę iść przeczytać ten list — odpowiedział Konrad, którego oburzała powyższa mowa milionera.

Uwolniwszy się tak od natrętnéj obecności Henryka, Konrad złamał pieczątkę i zaczął czytać bilet, z tych tylko słów złożony.

„Konradzie!.. przybywaj co prędzéj lub „będzie za późno... mam odkryć ci wielką „tajemnicę, która ciebie i twego brata szczególniéj obchodzi.... Pamiętaj że na pośpiechu wszystko zależy... jednéj tylko trzeba „godziny, a możesz przybyć za późno... „oczekuję cię z niecierpliwością.

Mateusz.

Po dwakroć czytał Konrad powyższy list, i za każdym razem, bardziéj się utwierdzał, że musiało się wydarzyć coś nadzwy-

czaj ważnego, kiedy ojciec tak nagle go przyzywał.

Postanowiwszy więc nie zważać ani na spóźnioną porę, ani na zabawę, powrócił do salonu a przystąpiwszy do Zofii rzekł:

— Muszę pożegnać ciebie.

— Jakto! pan *odchodzisz!* — zawołała przerywając Zofia.

— Odjeżdżam.

— Odjeżdżasz i dokąd?

— List jaki widziałaś pani, że odebrałem przed chwilą, był od mego ojca, w nim to, przyzywa on mnie, ażebym natychmiast przyjechał.

— Mógłbyś przecie pan zatrzymać się choć do jutra.

— Ani jednej chwili... wyraźnie mi to ojciec zaleca, musiało więc wydarzyć się coś niezwykłego, nie pisał by bowiem podobnie.

— A to jedź pan—kiedy inaczej bydź nie może — odpowiedziała Zofia i podała rękę

młodzieńcowi; Konrad spojrzał na nią i dojrzał łzy, jakie w jéj oczach błysnęły.

— Bądź zdrową... bądź zdrową—powtórzył Konrad, a jakby obawiając się, ażeby dłuższe widzenie Zofii, nie stanęło na przeszkodzie jego wyjazdowi, usunął rękę i szybko wybiegł z salonu.

Po oddaleniu się Konrada, Zofia wcale już nie tańczyła; większa część młodzieży nie mogła wydziwić się téj nagłéj zmianie, jeden Henryk tryumfująco potrząsał głową i zdawał się powtarzać:

— Ja wiém o wszystkiém... poproście mnie to wam powiém.

Na nieszczęście jednak, nikt nie myślał się go pytać, Henryk więc, ażeby zadosyć uczynić żądzy paplania, zaczął biegać od jednego do drugiego i po kolei opowiadać im o miłości Zofii i Konrada, tak że jeszcze bal się nie skończył, kiedy wszyscy goście wiedzieli już: że Zofia kocha się w Konradzie Robińskim, że Konrad również jest nią

zajęty, i że, wkrótce, mają się odbyć ich zaręczyny. Byli nawet i tacy, którzy zapewniali, iż już wyszły piérwsze ich zapowiedzie—czego sami świadkami być mieli.

Tak to najmniejsza pogłoska, przechodząc z ust do ust, ubrana w najdziwaczniéjsze, najśmieszniejsze przydatki, staje się olbrzymią.

III.

ANIELA Z SWIAT.

Późno w noc powrócił Henryk do siebie—do Rzymskiego hotelu; przechodząc około drzwi oddźwiernego, zatrzymał się, usłyszawszy wymówione swe nazwisko.

— Panie Potrzaski... panie Potrzaski—wołał szwajcar, wychylając głowę ze swéj stancyjki—mam tu coś dla pana.

Henryk zatrzymał się, i odebrał z rąk mówiącego, bilet zapraszający na wielką za-

bawę w domu Barona Karwicza, za kilka dni odbyć się mającą.

Zdziwił się Henryk przeczytawszy powyższe zaproszenie, tak bowiem nowém było ono dla niego, i tak zarazem pochlebiające jego próżności, że nie zaraz chciał uwierzyć własnym oczom, i długi czas sądził się igraszką żartu. Aż nakoniec wmówił w siebie że tak a nie inaczéj być musi, a ciesząc się z zaszczytu, jaki go spotkał, układł się w łóżku, rojąc najpiękniejsze marzenia o mającéj nastąpić zabawie.

Pozostawmy go zasypiającego, a sami powróćmy do barona Karwicza i młodéj jego małżonki.

W pierwszych chwilach, baron, zaślepiony miłością, widząc tylko przed sobą spełnienie swych żądań, zapominał o przedziale pod względem urodzenia i majątku, jaki istniał pomiędzy niemi — zapominał o opinii świata, jaki mógł był zlać na niego wszystkie jady swéj złości i pośmiewiska, skoro-

by dowiedział się o zuchwałym postępku barona, przez jaki z tak hardém czołem stawał przeciw jego uprzedzeniom i przywilejom. Skoro jednak, ochłodł piérwszy żar namiętności—skoro Karwicz, ujrzał się nieograniczonym posiadaczem celu swych zapałów, wnet stanął mu w umyśle cały jego postępek, a z nim, wszystkie następstwa, jakie on mógł spowodować.

Aby więc od razu zamknąć usta gadułom, i okazać światu jak mało lęka się jego sądu, a tém samém tryumfować nad nim, postanowił jawném uczynić swoje małżeństwo, gromadząc w dom swój, cały, znajomy mu ton wyższy. I dopiéro przedstawić swoją żonę—lecz przedstawić ją błyszczącą bogactwami! młodości, stroju i wdzięków.

Oto był powód dla którego Henryk dostał zaproszenie; podobneż posłano państwu Wizińskim, Ernestowi i wielu innym osobom, jakie albo blisko znane były od Kar-

wicza, lub widział je tylko w salonach do jakich uczęszczał — do téj téż liczby, jak wiémy, należeli Henryk i Ernest.

Rano, w dniu przeznaczonym na zabawę, Baron ubrawszy się w adamaszkowy szlafrok, z cybuchem przy ustach i w axamitnéj czapeczce, cokolwiek na bok przechylonéj, udał się do pokoju żony i w chwili, gdy ta, wcale nie spodziéwając się jego odwiédzin, w ponurem milczeniu przechyliła się na krześle, rzekł, biorąc ją za rękę.

— I znowu jesteś smutną... ah! do djabła... na co się zdały te łzy... brzydniesz tylko... mizerniejesz... dalibóg! myślałby kto widząc ciebie, że ci czego nie dostaje, a przecież masz wszystko!.. ubiéram cię jak królowę... posiadasz dostatki... bogactwa o jakich ci się nie marzyło... i czegóż więc płaczesz... czemu jesteś smutną?

— Jestem smutną, prawda—odpowiedziała Aniela słabym głosem—lecz cóż ja winna temu że cierpię.. że łez wstrzymać nie

mogę?... Nie żądaj więc pan, ażebym się stała wesołą, to tak trudnem dla mnie... pozwól niech płaczę... to mi ulgę przynosi.

— Co za dziwactwo... skąd tak nierozsądne żądania, ja to to raczéj powinienem się smucić... przelewać łzy, widząc te dwójznaczne uśmiechy—słysząc te szydercze mowy, jakiemi mnie obarczają od czasu naszego połączenia — a jednak, widzisz nie uważam na nie... śmieję się... jestem wesoły.

— I czyż ja winną temu—rzekła łkając Aniela—że mnie pan podobnemi obarczasz wymówkami—przecież nie szukałam ciebie... sam żądałeś méj ręki... sam narzuciłeś mi te bogactwa, tę świetność, jakich nie pragnęłam i nie pragnę.

— Niewdzięczna! — i takaż to nagroda za błogą dolę twych rodziców jaką im zapewniłem?

— Nie słuszną twa wymówka panie, bo czyż mało uczyniłam oddając ci się ca-

ła, zapierając się własnéj woli—własnego serca, ażeby takowe tobie na wieki poświęcić.

— I cóż mi z tego poświęcenia, kiedy je tylu i tak częstemi oblewasz łzami, jakie szkodzą ci, psują płeć, tak, że niedługo może nadejść czas, iż zupełnie mi zbrzydniesz.

Aniela nic nie odpowiedziała, tylko zakryła oczy chustką i nowémi zalała się łzami.

— Znowu!—zawołał niecierpliwie Karwicz—jak widzę, dziś z tobą nie będę mógł trzech słów rozsądnie pomówić.

— Co pan chcesz powiedzić?—zapytała Aniela, podnosząc na Barona oczy czerwone od płaczu.

— Najpierwéj to, że masz oczy czerwone jak u królika... a potém, że chciał bym, ażebyś się ubrała.

— Dobrze... natychmiast uczynię zado-

syć twéj woli — odpowiedziała wstając Aniela.

— Nie dosyć jednak na tém — zaczął znowu baron—trzeba jeszcze okazać ci się piękną: przywdziéj więc najkosztowniéjsze stroje... weź ubranie, w którém ci jest najlepiéj... ułóż włosy, jak możesz najpowabniéj... twarz twoją niech ozdabia ponętny, wesoły uśmiéch... spojrzenie niech błyszczy uroczo... a cała postać okazuje szczęście i zadowolenie.

— I po cóż to?... na co tyle zachodu?— zapytała prawie drżąc Aniela, tak ją przestraszyła ta dziwaczna rola, jaką baron chciał, ażeby odegrała.

— Na co... dowiedz się więc, że dziś w wieczór będą u nas goście, wydaję wielki bal... bal poświęcony tobie—dodał z pochlebnym giestem—chcę, ażeby cię poznano... ażeby świat ujrzał żonę Barona Karwicza. Patrz — mówił daléj, rozkładając długą listę zaproszonych osób—jak liczne

grono zapełni dziś nasze salony... cały wyższy ton Warszawy pozna cię od razu, trzeba więc, ażebyś okazała się wesołą i zadowoloną, témbardziéj, że w liczbie naszych gości, znajduje się i twoja ciotka.

— Kto?... pani Wizińska? — zapytała szybko Aniela, i uśmiéchnęła się melancholijnie, przypomniawszy sobie, jak temu kilka miesięcy zimno i pogardliwie ją przyjęto, gdy przyszła prosić o pomoc dla swoich rodziców, kiedy dzisiaj, ma być przyjmującą gospodynią, i w swoich salonach oglądać tę dumną kobiétę i jeszcze dumniejszą jéj córkę.

— Prócz państwa Wizińskich — zaczął znowu Baron—poznasz jeszcze kilkanaście domów i niezliczone mnóstwo młodzieży. Radbym ci wymienić wszystkich nazwiska lecz raz że nie pamiętam, a powtóre, iż tak wiele zaprosiłem osób, że pomiędzy niemi, mnóstwo jest zaledwie mi znanych jak naprzykład: hrabia Zdawnialski, Lucyan Wie-

niewicz, Henryk Potrzaski, Ernest Kalicki....

— Kto?... Ernest?... pan Kalicki? — zapytała, mocno rumieniąc się Aniela—czy i on będzie?... czy i jego się spodziéwasz?

— *Toż więc go znasz?* — zapytał Baron—ale prawda—dodał—a przecież to on okazał się litościwym dla ciebie... *on* to był twoim przeciwko mnie obrońcą... dalibóg! zapomniałem o tém rozpisując bilety, byłbym go był wypuścił z liczby zaproszonych—Lecz jak widzę pani przestała płakać—mówił daléj, uważając nagłą zmianę żony, któréj twarz wypogodziła się i zajaśniało—podobała ci się jak widzę moja pomyłka... mniejsza o to, niech i tak będzie... byleś tylko nie robiła kaprysów, byleś się ubrała i była wesołą, ażeby zawstydzić cały ten głupi świat, który mi od kilku dni nie daje pokoju.

Powiedziawszy te słowa, baron, wyszedł z pokoju żony, która zatopiona w ro-

skosznych myślach, ponieważ za chwil parę ma ujrzeć Ernesta, utonęła w pełnych uroku dumaniach.

— Nakoniec zaczęła się ubiérać, a ubierając, z prawdziwém zajęciem przywdziewała świetne stroje, i z nieznacznym uśmiéchem spoglądała w lustro, wystawiające ją tak piękną, tak powabną, w téj chwili była ona szczęśliwa, szczęśliwa myślą, że Ernest ujrzy ją—że jego oko z zadowoleniem spocznie na pięknem jéj licu — jego usta uśmiéchną się i przemówią do niéj.

Z niecierpliwością téż wyglądała wieczoru, a gdy ten nadszedł, i osoby zaproszone zbiérać się zaczęły, za każdém otworzeniem podwoi, oczekuje, rychło ukaże się w nich pożądany od niéj młodzieniec.

Pierwéj jednak nim to nastąpiło, weszła do salonu pani Wizińska z mężem, Laurą i Henrykiem.

Sam Baron przedstawił im Anielę.

— Bardzo jestem szczęśliwą moja luba

Anielciu, że mogę cię uścisnąć—zawołała pani Wizińska, otwierając obięcie do przyjęcia swéj siostrzenicy—no i cóż, jakże mi się masz? jak się mają twoi rodzice?... jak się ma ta kochana moja siostra... a twoja matka Anielciu?

— Winniśmy przeprosić Anielkę — odezwała się Laura, całując z udaną szczérością córkę swojéj ciotki — żeśmy ją tak dziwnie przyjęli temu kilka miesięcy... lecz to nie z naszéj nastąpiło winy.

— O niczém nie pamiętam — odpowiedziała Aniela, gorzko się uśmiéchając.

— Można ci powinszować Baronie takiéj żonki—poszepnął Wiziński, zwracając się do Karwicza — piękna jak laleczka... młodziutka jak kwiatek... na honor! ty przy niéj odmłodniejesz.

— Czy uważasz mamo — rzekła znów Laura—jak Anielcia ładnie wyglada... prawdziwie, że śliczną mam siostrunię.

— Jaka szkoda, że nie ma tu twojéj

matki—dodała pani Wizińska, — chciała bym ją uścisnąć, a już tak dawno jéj nie widziałam... że doprawdy, aż mi tęschno.

— Milcząc, słuchała Aniela tych słów przepełnionych obłudą—tych pochlebstw jakiemi ją obsypywano, ponieważ okrywały ją stroje, otaczało bogactwo. O! gdyby nie to, pewno żadna z tych pań, nie przyznałaby się do jéj pokrewieństwa, jak to uczyniły, kiedy przymuszona wzywać pomocy swéj siostry i ciotki, samą tylko pogardę od nich otrzymała — kiedy kazano ją za drzwi wytrącić, ponieważ jéj ubranie znamienowało nędzę i niedostatek.

— Czy mogę się panu *przypomnić?*—odezwał się Henryk, przystępując do Barona.

— Jak się pan masz? — jak się pan masz!—zawołał Baron, podając mu rękę.

— Bądź pan tak łaskaw—zaczął znow Henryk—i racz przedstawić mnie swéj małżonce.

— A i owszem. Żono—dodał, zwracając się do Anieli—pan Henryk Potrząski.

Aniela nie spojrzawszy nawet na Henryka, lekko skłoniła głową na uniżony ukłon młodzieńca.

— Pan Ernest Kalicki—zawołał lokaj otwierając drzwi.

Na te słowa rozkoszne drżenie przebiegło członki Anieli. Odwróciła głowę od rozmawiających z nią, ażeby spojrzeć w stronę zkąd miał przybyć ten, którego tak bardzo kochała. I nie wiedzić dla czego, widząc wchodzącego młodzieńca, zapłonęła się, i nagle, boleśnie ścisnęło się jéj serce, tak, iż pochyliła się i omal nie upadła.

— Co ci jest Anielciu?... czyś słaba?—zapytała Laura, uważając tę nagłą zmianę dziewicy.

— Spocznij kochanie... ach jak zbladła!—zawołała Wizińska, zmuszając Anielę do zajęcia krzesła o kilka kroków sto-

jącego—za zbyt gorąco w tym salonie... a może jesteś zanadto ściśniętą.

— Nie—odpowiedziała po cichu Aniela—ścigając oczyma wszystkie ruchy Ernesta, który w téj chwili witał się z Baronem i właśnie z nim razem zbliżał się do siedzących *Anieli i pani Wizińskiéj*.

Znowu nastąpiła scena przedstawień i rekomendacyi. A gdy damy zajęły krzesła i mężczyzni umieścili się gdzie który mógł, zagrzmiała muzyka, wyzywająca nęcąco, uroczo.—Na ten odgłos, dobrane pary, najpiérwej nie liczne,—lecz co chwila pomnożone, puściły się w wirowy bieg walca.

Henryk zadyszany i zaczerwieniony stanął przed Anielą.

— Czy mogę prosić—i podał rękę.

Nie wypadało Anieli odmówić — powstała więc i wraz z Henrykiem stanęła w kole tańcujących.

— No... a my nie mamy tu po co stać, bo nic nie wystojemy—rzekł baron do Wiziń-

skiego—pójdź no lepiéj, pociągniemy *sztosa* lub *lancknechta*. Właśnie oto i pan Henryk Potrzaski przestał tańczyć z moją żoną... może więc także da się namówić.

— Idź zatém do niego—rzekł Wiziński.

Karwicz przeszedł całą szérokość salonu i stanął przed Henrykiem.

— Panie Potrzaski — rzekł, dotykając się jego ramieniu—pójdź z nami pociągniemy *lancusia*... przychodzę zatém po ciebie, bo wiém że to lubisz... jeszcze ty, co masz takie szczęście—i uśmiéchnął się złośliwie, ironicznie.

Ostatni uśmiéch, spowodował Henryka, do zgodzenia się na przedstawienie Barona—nie chciał bowiem uchodzić za nie mającego pieniędzy, ani za obawiającego się przegranej, a zresztą, szydercze wyrażenia Karwicza były tak wyzywające—tak zresztą, nęcącą nadzieją zysku, w razie, gdyby los okazał się przychylnym milionerowi,

iż Henryk nie wachał się ani chwili i rzekł:

— Jeżeli tylko oto idzie, to mała rzecz... natychmiast służyć mogę.

A skłoniwszy się Anieli, przepraszając, że ją tak rychło opuszcza, udał się za Baronem do pobocznego pokoju.

Po oddaleniu się Henryka, dopiéro Ernest, który dotąd stał na stronie, i prócz zwykłych słów grzeczności, niezbędnych przy wszelkich przedstawieniach— nie wyrzekł do Anieli ani słowa; —dopiéro zbliżył się doń, jak widać było w myśli zaczęcia z nią dłuższéj rozmowy.

Nie tylko oczyma, lecz duszą i sercem czuła Aniela zbliżającego się młodzieńca: jéj bowiem serce biło tak gwałtownie, jak gdyby piérś rozsadzić chciało—elektryczne drżenie przebiegało członki—a dusza, skupiona w jedną myśl—tą myślą gwałtownie naciskała umysł, niedozwalając jéj ani zebrać uwagi ani zastanowić się.

— Anielciu—odezwała się Wizińska biorąc rękę swej siostrzenicy—czy znasz tego pana?—I ruchem głowy wskazała zbliżającego się Ernesta.

— Zna...a...m.—wyjąkała żona Barona.

— Lecz pewno nie wiesz jaki on bałamut... *Dziś jednak* myśli się poprawić, i dla tego chce stanąć przy ołtarzu z jedną szwaczką.

Tyle było żółci w słowach Laury, iż Aniela, uderzona tą mową, z podziwieniem spojrzała na mówiącą, a widząc jéj twarz nacechowaną tylko dumą i szyderstwem—rzekła w sposób zupełnéj niewiary.

— Nie... to nie podobna... pani się mylisz.

— Mylę się—odpowiedziała Laura—ale gdzietam... i ażebyś się o tém przekonała, dosyć spojrzéć ci na rękę Ernesta... a właśnie nadchodzi.

Laura umilkła i wyniośle odwróciła głowę, Ernest bowiem stał tylko o parę od niéj kroków.

Pani Wizińska naśladowała córkę.

Ernest, na te pantominy dwóch kobiét, nie znacznie się uśmiéchnął, i nie zwracając więcéj na nie uwagi, przystąpił do Anieli i rzekł:

— Jedynie tylko dla pani... ażeby ciebie widzić... przyszedłem na dzisiejsze zgromadzenie.

Aniela chciała coś odpowiedzić, lecz nie mogła—słowa skonały w jéj drżących ze wzruszenia ustach.

— Długi czas—zaczął znowu Ernest—usłyszawszy o twojém za mąż pójściu, nie chciałem wierzyć, ażebyś to pani była, i dla tego tak skwapliwie pochwyciłem zaproszenie męża pani, ażebym się sam, naocznie, o prawdzie przekonał... i widzę, iż mnie wieści nie omyliły.... Jedna tylko rzecz jest dla mnie nie pojętą—mówił daléj, tonem coraz bardziéj dźwięcznym, coraz bardziéj przemawiającym do serca—jakim sposobem, ty pani, mogłaś się zgodzić na podobne zamęż-

cie... na—że powiem—zaprzedanie się człowiekowi, który ciebie nie godzien, który tak niskim okazał się w twoich oczach,.. nie... nie podobna.,. lecz musiały być powody... bardzo ważne powody... one tylko mogły skłonić cię do podobnego kroku.

— *Dziękuję ci panie*, że podobnie sądzisz o mnie — rzekła Aniela, nie odwracając oczu od wpatrujących się w nią spojrzeń Ernesta—dziekuję ci, że tak dobrze mię oceniłeś i pojęłeś... o tak.:. ja musiałam... koniecznie musiałam zgodzić się na te ochydne związki... przyjąć te złote kajdany. Bo i cóż miałam uczynić?.. ja... której marzenia... myśli, urzeczywistnione być nie mogły... która czy prędzej czy później, musiała bym się rozstać z niemi i na wieki wygładzić je z pamięci... czyż więc nie lepiej, że dzisiaj sama to uczyniłam... sama wyparłam się wszelkich uczuć, bo mnie ich mieć nie wolno... bo one zbrodnią może by się w końcu stać mogły. Dziś zaś połączona z człowiekiem

który przyrzekł mi zapewnić szczęście rodzicom, lubo sama nie jestem szczęśliwą, mogę przynajmniéj ich szczęściem się cieszyć.

— Ale podobne życie to męczarnia... jeszcze w twoim wieku pani... wieku wrażeń i uczucia... biedna *ty*! *ażeby* zapewnić pomyślność dawców swojego *życia*, sama robisz ofiarę ze wszystkiego co tylko najdroższego mieć możesz... o! to prawie niepodobne do wiary... nie podobne do wiary tak wielkie poświęcenie tak wielka cnota.

Pojąc się urokiem słów Ernesta, Aniela, założywszy ręce na piérsi, słuchała ich i gotowa by słuchać bez końca. Nagle jednak, jéj oko, zatrzymało *się na jakimciś* przedmiocie—usta *zadrżały*—serce boleśnie się ścisnęło, a z pod powieki o mało nie wytoczyły się łzy żalu i boleści.

Była to ślubna obrączka, jaką dopiéro w téj chwili, Aniela, spostrzegła na *palcu* Ernesta.

I przypomniała jéj się cała przestrzeń—

niezrównana, niezmierzona przestrzeń, jaka stała pomiędzy nią a młodzieńcem, a o jakiéj, ujęta jego mową, na chwilę zapomniała.

Ta myśl męcząco nacisnęła jéj umysł, spędzając resztki wesela z pogodnego przed chwilą jéj czoła.

Ernest nie mógł widzić téj zmiany. Właśnie bowiem kiedy takowa nastąpiła, pociągnął go za rękę Henryk, a odsunąwszy się z nim w dalszą część salonu, rzekł:

— Przebacz.,. że ci się naprzykrzam... ale przegrałem wszystko co do grosza.,. bądź więc tak dobrym, pożycz mi kilka dukatów.

— Nie mam — odpowiedział lakonicznie Ernest.

— Jak to?.. nie masz?—zapytał zdziwiony Henryk.

— Albo jeżeli wolisz to nie dam—odpowiedział w podobnyż sposób Ernest.

— Od jakiego to czasu stałeś się podobnie nie użytym?.. dawniej nie byłeś tak wyrachowanym.

— Być może... lecz dziś zmieniłem się.

— Nie dasz mi więc?

— Nie.

— Ależ... to chyba żarty.

— Nie żarty mój panie.

— Spodziewam się jednak—*zaczął znów* Henryk—*że nie zechcesz zostawić przyjaciela bez grosza w kieszeni.*

— A cóż mnie to obchodzi—żebyś jednak chciał mnie słuchać—dodał Ernest—to bym ci radził ustatkować się... a przedewszystkiem nie zaciągać długów.

— Dziękuję ci za twoją radę... ale się bez niéj obejdę....

W téj chwili pusta myśl, *przyszła do* głowy Ernestowi.

— Wiesz co—rzekł—ja sam nastręczył bym ci sposobność zupełnej poprawy.

— Ty?.. nie rozumiem do czego to zmierza...,

— Oto, żebym ci radził ożenić się... A właśnie znam jedną pannę... która pewno

nie odrzuciła by twéj ręki... wprawdzie nie jest już piérwszéj młodości, ale za to, ma kilkadziesiąt tysięcy gotówki.

— Dziękuję ci za podobne małżeństwo— rzekł z dumą Henryk — wiedz o tém, że gdybym się chciał żenić, to wnet znalazł bym *tysiące partyi* jak najkorzystniéjszych... *tysiące* domów, jakie uważały by sobie za szczęście, przyjąć mnie do swéj rodziny.

— Winszuję ale nie zazdroszczę—odpowiedział Ernest, i odsunął się od milionera, ażeby pożegnać gospodarstwo, było już bowiem dosyć późno.

— *Henryk* pozostał na miéjscu, bez pieniędzy i nawet bez nadziei ich dostania, rozmyślając nad środkami wybrnięcia z toni, albowiem ostatek gotówki wyłudzonéj od wieśniaka, przegrał dziś w *lancknechta.*

IV.

MILIONER W KŁOPOCIE.

—

Pierwsza czynność jaką Henryk odbył powróciwszy do siebie, była rewizya wszelkich skrytek, w których zwykle chował pieniądze.

Ten przegląd sprowadził go do rezultatu zero.

Aby więc to zero podnieść do wyższéj potęgi, przespawszy piérwéj kilka godzin, umyślił udać się do Łubowskiego, przy-

pomnić się jemu i jeżeli być może, pożyczyć od niego choć z kilkanaście rubli.

W tym celu udał się do hotelu Angielskiego.

Zdziwił się niezmiernie, gdy w liście podróżnych nie znalazł Łubowskiego.

Wszedł do stancyi oddźwiernego i zapytał się o wieśniaka, ale ten, prócz słów: pan Łubowski wyjechał — nie umiał mu więcej powiedzić.

— Czy na wieś?—zapytał Henryk.

— Nie wiem.

— Lecz wróci?

— Pewno nie... bo oddał klucze i zapłacił co był winien.

Zerwała się więc jedyna nić, jaka spajała istnienie Henryka z modnym światem... i to błyszczące życie, ta sława dandego i milionera, skończyły się z jéj zniszczeniem, a biedny lew, widząc tak nagle ogołoconym się ze swego panowania, smutnie westchnął i zamyślił się.

— Ale prawda... a Konstancya—rzekł— od niéj najprędzéj będę się mógł dowiedzić o Łubowskim.

I ożywiony nową nadzieją, znowu się uśmiéchnął, zaśpiewał i pobiegł Saskim placem ku Nowemu Światu.

*
* *

— Henryk!—zawołała zdziwiona Konstancya, ujrzawszy wchodzącego — zkadże się wziąłeś... co się z tobą działo, że cię tak dawno nie widziałam?

— Daruj mi pani, lecz w téj chwili nie mogę ci odpowiedzić na te wszystkie pytania, sam bowiem mam się ciebie o coś zapytać.

— I o co?

— Oto... gdzie teraz przebywa Łubowski?

— A czy ja wiém... ale podobno w Angielskim hotelu.

— Mieszkał ale już nie mieszka... właśnie tam byłem.

— No kiedy tak... to ja ci nie umiem powiedzić... od niejakiego bowiem czasu jegomość stał się bardzo dziwnym... zaczął się rachować... rozmyślać nad każdą fraszką... że doprawdy, nie raz, aż mię złości brały, widząc, tak jawne jego skąpstwo.

— I dawno nie był u ciebie?

— Z tydzień.

— Z tydzień—powtórzył, a po cichu dodał:—o! to źle, nie tak łatwo go znajdę.

— Co to, chcesz już pan odchodzić— rzekła Konstancya, widząc że Henryk zabiera się do odejścia.

— Muszę iść... chciałbym bowiem koniecznie znaleść Łubowskiego... jest mi winien blisko tysiąc złotych... szkoda by więc stracić tak wielką summę.

— Co?.. on tobie winien?... eh! chyba ty jemu.

— *Parole d'honneur*... wierz mi, że prawdę mówię... pożyczyłem mu, będzie ze dwa miesiące.

Po tak gładkiem kłamstwie, Henryk, nie tracąc miny, z wdziękiem ukłonił się Konstancyi, i z swobodą i lekkością zbiegł ze schodów.

W sieni dopiéro zatrzymał się i zamyślił.

— *Jaki ja dziecinny*—rzekł sam do siebie—*że dłużej nie zostałem u Konstancyi, może by mnie zaprosiła na śniadanie... a dalibóg! jestem porządnie głodny. Gdzieżeście się podziały wy złote czasy* — mówił daléj, żałośnie spoglądając w ziemię—*kiedy zjadałem przysmaczki Marego i Michaux; a dziś... ale nie* — dodał — *i dziś wybrnę z kłopotu... żeby biegać po wszystkich hotelach, to jestem gotów; a może też uda mi się wyśledzić w którym z nich Łubowskiego. Doprawdy, wyborna to myśl, zaczynam więc mój pochód... a najpierwéj marsz do Giersza, u niego bowiem, jak mi się zdaje — zwykle dawniéj stawał Łubowski.*

Dokończywszy tego monologu, Henryk, wziął, jak to mówią—nogi za pas i pobiegł na Podwale.

W bramie zajazdu stał zaprzęgnięty powóz, zupełnie gotowy do drogi. Jakiś jegomość w szopach i czapce nasuniętéj na uszy, zabiérał się do *zajęcia miéjsca* we wnątrz *ekwipażu*.

Henryk spojrzał na niego i poznał swoją zgubę.

— Panie Łubowski — co to ma znaczyć—rzekł ty wyjeżdzasz?

— Jak widzisz.

— A Konstancya?

— Niech djabli wezmą Kanstancyą a z nią cały wasz modny świat warszawski... tfu! do kroćset piorunów, przez głupie dwa miesiące tyle stracić ile ja, do tego trzeba nie mieć w mózgownicy ani trochy oleju.

— I o cóż jesteś tak złym? — *zapytał* Henryk.

— O co?... o moje pieniądze... jakie nie

wiedzić na co straciłem... a wszystko to z twéj przyczyny... ale.., ale... podobno tyś winien mi kilka set złotych... bądź więc tak dobrym i oddaj je, właśnie zdadzą mi się na drogę... jestem bowiem prawie bez grosza.

— Ja ci winien—powtórzył, udając podziwienie Henryk—nie... chyba ci się zdaje.

— Ależ... nie rób mię głupim... przecież wiém dobrze że ci dałem.. raz na lornetkę... a drugi...

— Ho... ho... ho... przypominasz jakieś stare dzieje, jednak tego nic nie było... musi ci się zdawać... żadnych bowiem piéniędzy nie brałem od ciebie.

— Brałeś... jak Boga kocham brałeś.

— *Parole d'honneur*... nie brałem.

— Niech cię jasny piorun spali kiedyś zapomniał!—zawołał Łubowski, sadowiąc się w powozie—no Walek—dodał, zwracając się do woźnicy—ruszaj... a jedź prędko... chciałbym już bowiem być daleko od

tej przeklętej Warszawy, do której, lepiej niech mię pierwej piekło pochłonie! niż drugi raz zajrzę.

Konie ruszyły z miejsca, i powóz szybko potoczył się ulicą.

Henryk pozostał sam w bramie, głodny i zły na los, tak mu nieprzychylny.

— Chyba że pójdę do Ernesta — rzekł sam do siebie—kto wie nawet czy nie zgodzę się na jego przedstawienie... jeżeli tylko nie żartował sobie.

Po tych słowach, lepiéj zatuliwszy się płaszczem, udał się na ulicę Przejazd.

— Założyłbym się—rzekł Ernest ujrzawszy wchodzącego—że przychodzisz dowiedzic się o wczorajszém przedstawieniu, jakie ci uczyniłem.

— Bydź może... lecz przedewszystkiém, czy nie masz co zjeść... dużo bowiem chodziłem, jestem więc głodny.

— Zaczekaj, poślę do restauracyi po śniadanie.

Zaspokoiwszy dokuczający mu apetyt, milioner pocieszony z jednéj strony—strony żądkowéj—przystąpił dopiéro do pocieszenia pustych swoich kieszeni, zapełniając je nateraz, choć nadzieją przyszłego wiana podstarzałéj swéj kochanki.

Zdaje mi się, że zbytecznem było by powiadać, że tą kochankę—tą przyszłą żoną Henryka, o jakiéj mówił Ernest, była panna Teresa.

Smiało w tym razie mógł Ernest przyrzekać Henrykowi, Teresa bowiem, która tak dawno i napróżno oczekiwała spodziéwanego wielbiciela jéj wdzięków, bez wachania pewno przyjmie rękę człowieka młodego, mającego przytém sławę lwa i milionera.

* * *

Tegoż samego dnia, wieczorem, Ernest pozostawiwszy Henryka w swojém mieszkaniu, udał się do pani Robińskiéj, i najpiér-

wéj jéj saméj a potém i pannie Teresie, oświadczył zamiary Henryka.

Panna Teresa, wstydliwie, z spuszczonemi oczyma, wysłuchała powyższego wyznania, a dozwalając Henrykowi mieć nadzieję, oświadczyła chęć bliższego się z nim poznania.

* * *

Nazajutrz Ernest, już w towarzystwie Henryka udał się do pani Robińskiéj. Teresa przyjęła ich najponętniejszym uśmiechem.

Wkrótce Henryk odniósł zupełne zwycięztwo nad starą panną. W trzy dni potém, oświadczył się jéj i zyskał wzajemne wyznanie. Ażeby zaś co prędzéj przyśpieszyć ślub, a z nim otrzymać tak potrzebne mu pieniądze, zaraz dał na zapowiedzie, i wyznaczył dzień ślubu, jaki miał się odbyć wspólnie ze ślubem Emilii.

— Mój Erneście—rzekła Emilia, uważając, na ten tak wielki pośpiech milione-

ra—czy rzeczywiście pan Potrzaski tak bardzo zakochał się w mojéj cioci?

— Rzeczywiście... ale nie w niéj... tylko w jéj pieniądzach— odpowiedział z uśmiechém Ernest.

— Czy być może... jakiegoż więc życia od nich się spodziewać... czyż oni znajdą szczęście o jakiém my marzemy?

— Dziecko jesteś moja Emilciu... dziś, większa część małżeństw, łączy się pod tém ponętném hasłem, jakiém jest *posag*, a jednak żyją zgodnie i są szczęśliwi.

— Ja jednak nie chciała bym ich szczęścia... i nie przestanę dziękować niebu, że mnie inny los przeznaczyło.

— Każdy według siebie rozumié szczęście—rzekł Ernest—my go pojmujemy z innéj strony... i z tém nam dobrze... wszak prawda mój Aniele?

— O tak... tak... zawołała Emilia i przytuliła się do piersi młodzieńca.

V.

DWA LISTY.

Jeszcze na balu u pani Wróżyńskiej, Laura, zamierzyła zemstę, jaką chciała dotknąć Gustawa i jego kochankę, ale różne zajęcia i wkrótce następujący bal u barona Karwicz, nie dozwoliły jéj swobodnego wykonania swych planów. Aż nakoniec, ujrzała się zupełnie wolną od wszelkiego zatrudnienia; nie czekając więc dłużéj, zaczęła porządkować cały postęp swéj zemsty.

Jedyny i najpodobniejszy środek do tego, było napisanie listu do męża Kamilli, przez jaki, ten, dowiedział by się o niewiarze swéj żony. Imię Dańskiego dosyć było znaném w Warszawie, nie trudno więc będzie Laurze, dowiedzić się o jego mieszkaniu.

Uczyniwszy to postanowienie, wzięła się do jego wykonania.

* — *
*

Dański tylko co po kilku ceremonialnych, rannych wizytach, strudzony, położył się i zasnął.

Z godzinę leżał w ten sposób.

— Za przebudzeniem się, wstał i zadzwonił.

— Przynieś mi gazety — rzekł do kamerdynera.

— Są tu dwa listy do Jaśnie Wielmożnego pana—rzekł służący — czy mam je podać?

— Daj.

Lokaj wyszedł — lecz wnet powrócił, niosąc na srebrnéj tacy, gazety i dwa zapieczętowane listy. Postawiwszy tacę na stole obok Dańskiego, wyszedł.

Bogacz odsunął gazety, a piérwéj wziął się do przeczytania listów.

Najpiérwéj zwrócił jego uwagę bilet, jak widać było po adresie, pisany ręką doktora Hoeckel.

Dański złamał pieczątkę i szybko czytać zaczął.

Panie!

„Stało się jak mówiłem.... Mateusz przez „moją sztukę wyléczony został... dziś już „on zdrów zupełnie... nie przestaje mnie „błogosławić za swoje uzdrowienie.... Biedny on!.. gdyż nie wie, co nosi w swojém „łonie... nie wie, że z każdą kroplą uzdra„wiających leków, jakie przywróciły mu

„zdrowie, połykał swoją śmierć... dziś „już dlań nie ochybną... Może pan zechcesz „posłuchać jak sobie postąpiłem... Oto cały „sekret: to tak skuteczne lekarstwo, niczém „innem nie jest tylko trucizną, która jednak „nie zabija odrazu, i owszém, po jéj zaży-„ciu, na jakiś czas, człowiek staje się zdro-„wszym i bardziej czérstwym, lecz za to, „po wyjściu zakréślonego terminu, jaki dla „Mateusza jest już bardzo bliskim, nadcho-„dzi śmierć nagła, gwałtowna, ze wszyst-„kiemi symptomatami skonu, nastąpionego „skutkiem apoplexii.... Póki jednak to nie „nastąpi, nie odejdę od Mateusza, ażeby w ka-„żdym razie, usunąć wszełkie przeszkody, „jeżeliby jakowe wyniknąć mogły".

* * *

Ani jednego wyrazu nie powtórzył Dański z powyższego listu, zdawało się, że lękały go ponure brzmienia pisma, zapowiadającego śmierć człowieka, który niegdyś

był jego ulubieńcem, jemu zupełnie oddanym i gotowym na wszystko.

Tylko nie znacznym, ironicznym uśmiechem wykrzywiły się jego usta, a chowając list doktora do pugilaresu, wziął się do otworzenia drugiego.

Odpieczętowane pismo, okazujące, że kreśliła je ręka kobiéty, od tych się słów zaczynało:

„Nie znając pana, ośmielam się pisać „do ciebie, do czego powoduje mnie mój „własny i twój panie interes.... Jesteś zdra„dzonym!.. oto cała tajemnica, jaką ci mam „odkryć... kobiéta, która przysięgła ci wiarę... „zuchwałą nogą zdeptała swoje powinno„ści... i innemu oddała miłość tobie wy„łącznie się należącą?... Od dawna już „twoja żona zdradza cię panie... pod pozo„rem osłabionego zdrowia, zamieszkała odda„loną willę, ażeby tu, swobodnie przyjmować „swojego kochanka... I odtąd codziennie „schodzą się oni z sobą... codziennie czynią

„igraszki z twojego honoru i imienia... wy-
„stawiając cię, że czy prędzéj czy późniéj,
„świat odkryje prawdę i obarczy cię pogar-
„dą... hańbą otoczy świetność twojego rodu".

Przeczytawszy powyższe słowa, Dański, zadrżał z oburzenia i gniewu... treść otrzymanego listu, tak trafnie malująca mu to, co dotąd było dlań *obojętném*, *wyjaśniła* mu zarazem wiele okoliczności, nad któremi dotąd nie zastanawiał się i nie zważał na nie, które jednak, teraz wydały mu się nie zwykłemi. I tak: to tak długie przebywanie Kamilli w letniém jéj mieszkaniu—ta chęć samotności i unikanie wszelkich towarzystw, to nakoniec pomięszanie Kamilli, jakie odbijało się w całéj jéj *postaci; posłużyły* Dańskiemu, do większego utwierdzenia się, jak prawdziwe mogły być wyrazy otrzymanego pisma.

Pyszna dusza Dańskiego jak najokropniéj dotkniętą została: myśl, że świat odkrył hańbę jego domu, że jego imię mogło stać

się celem pośmiewiska tłumu, tego tłumu, który z pokorą umykał się i schylał ku ziemi czoła, nie śmiejąc podnieść oczu na dumnego bogacza—że lada kto może mu zarzucić słabość charakteru, i niemoc oparcia się postępkom żony—przywiodły go do najwyższego gniewu, i zapaliły w jego piersiach żądzę pomszczenia się nad niewierną małżonką i jéj uwodzicielem.

I gotów byłby natychmiast wykonać plany swojéj zemsty, że jednak było już dosyć późno, odłożył więc je na jutro, a resztę dnia przepędziwszy w swoim gabinecie, udał się na spoczynek; nie prędko jednak mógł zasnąć gdyż gniew i oburzenie przez długi czas, nie dozwoliły mu zmrużyć oko—dopiero nad ranem uspokoił się cokolwiek.

Była ósma godzina rano, kiedy Dański zerwał się z łóżka, a kazawszy podać sobie śniadanie, ubrał się, ażeby być gotowym do wycieczki jaką miał uczynić.

O dziesiątéj zupełnie już ubrany, wyszedł na ulicę, wsiadł do dorożki, nie chciał bowiem jechać własnym powozem, ażeby nie obudzić jakowych podejrzeń pomiędzy swemi służacemi—i pojechał ku rogatkom za któremi mieszkała Kąmilla. Dla większéj tajemnicy, nie pojechał daléj jak do okopów miasta, tu odprawił dorożkarza i dalszą drogę piechotą odbyć zamyślał.

Uszedł już, dobrą wiorstę drogi, kiedy usłyszał po za sobą turkot nadjeżdżającego powozu. Obawiając się, ażeby to nie była jego żona, albo jéj kochanek, (który lubo Dański nie wiedział jego nazwiska, mógł jednak być mu znanym, wzajem znać męża Kamilli, i tym sposobem poznać go, i popsuć cały plan działań Dańskiego), zastukał do piérwszego lepszego domku, stojącego przy drodze, a za otwarciem drzwi, jakie odemknęła jakaś już średnich lat kobiéta—wszedł do jego wnętrza.

— Słuchajcie no—zaczął Dański, ażeby

się o co zamówić—czy nie mógłbym dostać u was mléka?

— A czemu nie... mam prosto od krowy.

— Dajcie mi więc kwartę.

— Natychmiast miéć go pan będziesz.

W téj chwili nadjechał powóz Gustawa.

Dański widząc go jak się zbliżał, wpadł na myśl, czy by nie dobrze było wypytać się teraźniejszej swéj gospodyni o Gustawa, ta bowiem mieszkając tuż przy drodze, najprędzéj mogła mu udzielić w téj mierze wiadomości,—wtedy więc kiedy powóz Gustawa mijał domek, Dański, zwracając się do kobiéty, rzekł:

— Moja matko... czy nie wiész czasem czyj to powóz?

— Czy ten co przejechał?... eh! któżby nie wiedział, a przecież codzień napatrzyć się go mogę..

— Czyj więc jest?

— Kochanka naszéj pani.

— Jakiej pani? — zapytał bledniejąc Dański.

— A tej, co mieszka tam... w pałacu... pani Dańskiéj.

— Jéj kochanek—rzekł marszcząc brwi Dański—i któż ci o tém powiedział?

— Kto?... ależ mój Boże! o tém wié cały świat... wprawdzie ten panicz ile może, tyle się ukrywa... nie jeździ nawet prosto do pałacu, tylko pozostawia powóz, na boku... w lasku, a sam piechotą idzie aż do ogrodowéj furtki... nie raz go już w podobnym razie spotykano... ja sama widziałam.... jak Franciszka, garderobiana pani Dańskiéj, przeprowadzała go przez szpaler.. a Walenty, stróż pałacowy, mówił mi, że raz, kiedy zostawił klucze w oranżeryi i udał się po nie, zastał tu panią Dańską i jéj kochanka.

Takim sposobem sprawdziły się przeczucia Dańskiego, to bowiem co mówiła ta kobiéta, jawnym było dowodem, że nie

tajną już światu hańba jego żony i że tylko bogactwo i znakomitość rodu, ochraniały go, iż te tajemne poszepty, te kryjome szyderstwa, nie stały się jawną pogardą, jaką go świat lada dzień mógł obarczyć.

Działać więc, pośpiesznie działać, widział jedyną dla siebie ucieczką—jedynym środkiem zaradzenia złemu—odrazu zerwać wszelkie stosunki żony z jéj uwodzicielem—zmusić tego ostatniego do wiecznego milczenia, i zarazem zemścić się nad nim, oto były postanowienia, jakie jedne po drugiem czynił w swoim umyśle.

W tym celu, nie czyniąc więcéj zapytań gadatliwéj kobiécie, opuścił jéj mieszkanie i szybkim krokiem, ile mu pozwoliło gwałtowne oburzenie, jakie całym nim wstrząsało, zaczął zdążać do pałacu.

Nie dochodząc do niego, w maleńkim lasku, jak mu to mówiła kobiéta, znalazł powóz Gustawa — widać że stangrét nazwyczajonym był do długich odwiedzin pa-

na, zsiadł bowiem z kozła, odkiełznał konie i założył im obroku.

Dański przeszedł mimo ekwipażu, a unikając głównej bramy, ażeby nie tak łatwo być spostrzeżonym, wszedł bocznemi drzwiami; minąwszy podwórzę przyozdobione kląbami kwiatów, lecz teraz pozbawionych swej zieloności, — stanął w sieni, nie widziany od nikogo. Tutaj dopiero spostrzegł go ogrodnik.

— Ach... jaśnie Wielmożny pan—zawołał, i odkrył głowę.

Dański skinieniem ręki nakazał mu milczenie.

Wszedł na górę.

Znowu jeden czy dwóch ze służby zobaczyło go.

Również i im Dański zalecił spokojność.

Tak zbliżył się aż do drzwi pokojów Kamilli.

We drzwiach przedpokoju spotkał Franciszkę.

Krzyk przestrachu i podziwienia wyrwał się z piersi garderobiany.

Dański obudwoma rękami zakrył jej usta.

— *Słuchaj—rzekł*—wiém wszystko... nie ukrywaj więc nic przedemną... i natychmiast prowadź mnie do pokoju, w którym znajduje się twoja pani wraz z swym nikczemnym uwodzicielem? Pamiętaj na to co ci mówiłem a nie pożałujesz tego... w razie przeciwnym, wynajdę sposób ukarania cię.

— Co pan chcesz odemnie—rzekła Franciszka zwolna przychodząc do siebie — ja nie wiém o niczém... nie wiém czego pan żądasz.

— Czyż nie słyszałaś co ci mówiłem, ażebyś powiedziała wszystko co wiesz.

— Co mam mówić... kiedy ja nic nie wiém.

— Powiedz mi gdzie znajduje się twoja pani?—i gdzie jest jéj kochanek?

— I zkąd ja o tém wiedzić mogę—rzekła Franciszka, sądząc, że może jéj się uda, wybiegiem oszukać Dańskiego i osłonić swą panią—czyż mi się pani zwierza?

— A więc dobrze—rzekł *Dański* przytrzymując ją za rękę—nie żądam już ażebyś co mówiła... zobaczemy jednak czy rózgi nie rozwiążą ci języka.

I skinął na służącego, jaki nadchodził w téj chwili.

— Adamie—rzekł—weź z sobą tę dziewczynę, sprowadź ją na dół... i niech natychmiast trzydzieści rózg jéj dadzą.

— Panie!—zawołała ze drżeniem Franciszka, uważając na surową twarz Dańskiego, jaka nie kazała jéj się spodziewać najmniejszej łaski—już powiém... powiém...

— Teraz nie powiesz, tylko sama zaprowadzić mnie musisz...

— Ależ panie.

— Żadnego ale... no idziesz... czy nie?

— No pójdź pan, już cię zaprowadzę.

— Dobrze... ale pamiętaj, jeżeli mnie zwiedziesz, wtedy każę cię siec bez miłosierdzia.

Drżąc od strachu Franciszka, słuchała groźnych słów Dańskiego, a kiedy skończył, rzekła mu:

— Pójdź pan sam się przekonasz że prawdę mówiłam.

I poszli; mijając długi rzęd pokoi, na końcu których znajdował się apartament Kamilli, gdzie w téj chwili znajdowała się ona z Gustawem.

Franciszka wskazała drzwi doń prowadzące.

Dański gwałtownie je otworzył.

VI.

MĄŻ, ŻONA I KOCHANEK.

Gustaw siedział u nóg Kamilli—Kamilla pochyliła się i bawiła z włosami kochanka, kiedy Dański tak niespodzianie wszedł do pokoju żony.

Ujrzawszy go Gustaw zerwał się—Kamilla nieruchoma, jak martwa, pozostała na miejscu.

— Czekaj pan... nie uciekaj—rzekł Dański zwracając się do Gustawa — chciałbym

bowiem z tobą kilka słów pomówić, jako też i z tą panią.

— Lecz kto pan jesteś?.. czego chcesz?.. po co przyszedłeś?—zapytał Gustaw.

— Kto jestem... niech ci powie ta kobiéta—i wskazał Kamillę—czego chcę?.. zmycia hańby jaką mnie *obarczyła twoja* niecna miłość, a przyszedłem, ażeby was rozłączyć, żeby powiedzić tobie, że jesteś podłym i nikczemnym, a téj nieszczęsnéj, iż zawierzyła człowiekowi bez czci i honoru, który ją uwiódł i zmusił do zapomnienia swoich obowiązków.

— Panie... to nadto! — wykrzyknął Gustaw zaledwie się hamując — *jeżeli* jesteś mężem téj którą kocham... to mścij się... masz do tego prawo... lecz biada ci za każde słowo, jakiém ośmielisz się hańbić czystość mojego rodu... pomnij że obelga wymaga zadosyć uczynienia.

— Zadosyć uczynienia—powtórzył Dański z ironią — a jakąż ty mi dasz?.. ty,

który zuchwałą dłonią targnąłeś się na mój honor—i który, że ci jeszcze raz powtórzę, okazałeś się w moich oczach podłym i nikczemnym.

— Dosyć tego panie—rzekł Gustaw z mocą—wychodźmy... znajdziem tu pewnie jaką taką broń... a świadków nam nie trzeba.

— Zgadłeś — rzekł Dański, wyjmując z kieszeni surduta dwie krócice — jedną z nich nabijem kulą a drugą samym tylko prochem—i damy twemu służącemu, którego widziałem w lasku, przy koniach, ażeby je pomieniał, potém, na los weźmiemy każdy jedną z nich, i razem wystrzelemy.

— Dobrze... a więc idźmy.

I opuścili pokój.

Kamilla sama nie mogąc słowa wymówić, była świadkiem całéj powyższéj rozmowy—gdy Dański wyjął pistolety, zadrżała i zimny dreszcz przebiegł jéj członki—a kiedy jéj mąż wyzwał Gustawa i obadwa razem wyszli z pokoju, wydała krzyk

długi, ostry, dziki i zemdlona padła na ziemię.

Szczęściem że Franciszka spodziewająca się tej sceny, znajdowała się w pobocznym pokoju, mogła więc natychmiast biec z pomocą do swej pani.

Po długich staraniach garderoblany, nakoniec Kamilla *otworzyła oczy.*

— Jeszcze pani Dańska nie zdołała słowa przemówić, kiedy rozległ się podwójny wystrzał. W jednej chwili Kamilla odzyskała siły, a zrywając się z krzesła, przyskoczyła do drzwi, ażeby przekonać się o skutku walki.

— Pani!.. co pani robi!—*wołała* za oddalającą się Franciszka.

— Nie zatrzymuj mnie—odpowiedziała Kamilla i zadyszana biegła dalej.

Wychodząc na podwórze, ujrzała powracającego męża.

— Sam... bez niego... a więc zabity... i to

dla mnie — wyjąkała i powtórnie padła zemdlona.

Zaniesiono ją do jéj pokoju.

Teraz dłużéj niż piérwszym razem, nie można jéj było wrócić do zmysłów.

Kiedy jednak dokazano tego, i Kamilla odzyskała poznanie rzeczy, najpiérwsze słowa z jéj ust wyszłe, były pytaniem jakie uczyniła Franciszce:

— Na miłość Boską!.. powiedz... powiedz co się z nim stało?.. czy rzeczywiście Gustaw zabity.

— Nie... raniony tylko.

— Raniony... i niebezpiecznie?

— Podobno nie...

— Lecz czy ty mnie nie zwodzisz? a może on naprawdę zabity.

— Kiedy mówię pani że żyje... na własne oczy widziałam jak wsadzono go do powozu.

— Franciszko!.. ubierzesz mnie... muszę jechać.

— Pani, w tym stanie... będąc tak osłabioną.

— Mówię ci że muszę... nie ociągaj się zatém.

Nie miała co więcéj powiedzić Franciszka na te słowa pani, i w milczeniu zajęła się jéj toaletą.

W pół godziny Kamilla była gotową— powóz również stał zaprzęgnięty.

— Pani już zdrową—rzekł z ironią Dański, widząc wychodzącą żonę —jedziesz... i gdzież? jeżeli wolno się zapytać.

— I pan to śmiész do mnie mówić podobnie.. pan, który zmazałeś się krwią człowieka, jakiego....

— Ja kocham, możesz dokończyć... o! wiém o tém... ale wiédz zarazem, iż odtąd wszystko musi być między wami zerwane... że już więcéj nie zobaczysz swojego kochanka.

— Również i pan dowiedz się—rzekła Kamilla stałym głosem, raz przecie otrzą-

sając się ze zwykłéj sobie bojaźni—że i my z sobą żyć nie będziemy... że wieczny rozdział nastąpi pomiędzy nami... że ja opuszczam cię, i odjeżdżam do swoich rodziców.

Po tych słowach Kamilla wyszła z pokoju.

Śmiałe wyrazy żony jak grom piorunu poraziły Dańskiego,—rozłączenie o jakiém wspominała ustraszyło go, lękał się bowiem utraty wiana, które by na powrót przeszło do jéj rodziców. Chciwość i duma rozpoczęły z sobą walkę w duszy Dańskiego— i piérwsze przemogło, — Dański bowiem, wolałby jak dawniéj przez szpary patrzéć na postępowanie żony, byle tylko nie wyrzec się rozkoszy, posiadania kilku milionów więcéj.

sając się ze zwykłej sobie bojaźni—że i my z sobą żyć nie będziemy.. że wieczny rozdział nastąpi pomiędzy nami.. że ja opuszczam cię, i odjeżdżam do swoich rodziców.

Po tych słowach Kamilla wyszła z pokoju.

Śmiałe wyrazy żony jak grom piorunu poraziły Pańskiego.—rozłączenie o jakiem wspominała usłaszyło go, lękał się bowiem utraty wiana, które by na powrót przeszło do jej rodziców. Chciwość i duma rozpoczęły z sobą walkę w duszy Pańskiego— i pierwsze przemogło. — Pański bowiem, wolałby jak dawniej przez szpary patrzeć na postępowanie żony, byle tylko nie wyrzec się rozkoszy, posiadania kilku milionów więcej.

VII.

EMANCYPACYA.

Kamilla udała się do Aurelii.

Usłyszawszy od Franciszki iż Gustaw został ranionym, postanowiła pojechać do Baronowej, i prosić ją, ażeby zechciała towarzyszyć jéj do domu Gustawa, aby tu, sama, naocznie, przekonać się mogła o stanie jego zdrowia.

— Jak się masz moja Kamilciu!.. i cóż cię do mnie sprowadza?.. zawołała Aurelia ujrzawszy wchodzącą.

— Przyszłam prosić cię o jedną łaskę— odpowiedziała Kamilla.

— I o jakąż?

— Oto, ażebyś pojechała ze mną do Gustawa.

— A i owszem... z całego serca.... Tym chętniéj ci towarzyszyć będę, gdyż widzę, iż powoli *przejmujesz się zasadami emancypacyi*... bo prawdziwie, pomysł, ażeby dwom młodym kobiétom oddawać wizytę mężczyźnie—ażeby mężatce odwiédzać swojego kochanka — wart głowy emancypowanéj.

— Ależ to nie będzie żadna wizyta—rzekła Kamilla—Gustaw bowiem jest chorym, i dla tego chciałabym, *ażebyśmy poszły* dowiedzić się o stanie jego zdrowia.

— Jakto Gustaw chory... i co mu to?

— Został ranionym.

— Ranionym... czyż się pojedynkował.

— Tak jest.

— I z kim?

— Z moim mężem.

— A więc Dański dowiedział się?

— Wie wszystko.

— I cóż ci mówił.

— Chciał mnie grozić... chciał mnie zastraszyć... lecz nie ulękłam się słów jego... i wzajem zagroziłam mu rozłączeniem...

— Przewybornie!.. doskonale... widzę że korzystasz... bądź spokojną kochanie! nie długo i ty staniesz się emancypowaną.

— Lecz jedźmy... jedźmy prędzéj... bo drżę z niecierpliwości.

— No... no... zaraz... zaraz... tylko się cokolwieczek przebiorę.

Uczyniwszy zadosyć wymaganiom toalety, Aurelia wsiadła do powozu, i wkrótce wraz z Kamillą przybyły do mieszkania Gustawa.

Właśnie doktór tylko co opatrzył ranę, która okazała się nie zbyt głęboką, kula bowiem oparła się o żebro i uwięzła w ciele—znaczny jednak upływ krwi spowodo-

wał osłabienie i zupełną niemoc. Toż osłabienie sprawiło, iż Gustaw powoli zastanawiając się nad sobą, sam się dziwił, że mógł tak długo oddawać się namiętności, jaka zupełnie go już przesyciła; że mógł tak długo zachować stosunki z osobą nie wolną, kiedy przed tém, otrzymał już wszystko, co tylko kobiéta mężczyźnie ofiarować może—i uśmiéchnął się szyderczo nad sobą samym, a sycząc z bólu, mówił sam do siebie:

— Dobrze ci tak głupcze... gdyż od miesiąca mogłeś już był cofnąć się z placu... a kiedy tego nie zrobiłeś... ciérp teraz.

Tak mówił Gustaw — podobnie powiedziałby prawie każdy inny mężczyzna na jego miejscu będący. Szaloną więc jest kobiéta, która będąc związaną przysięgą wykonaną w obliczu Boga i ludzi, łamie ją, i w innéj miłości szuka pokarmu dla duszy, jakiego w małżeństwie znaleść nie może... Nierozsądna! czyż sądzisz, że twój

kochanek na długo ci wiernym pozostanie... że jego miłość aureolą twoją głowę otoczy?,. o nie... nie... im dłużéj mu się opiérać będziesz... im późniéj złożysz w jego ręce honor swój, męża, a nie raz i dzieci, tém dłużéj trwać będzie mniemane szczęście twoje—lecz gdy ulegniesz, spodziewaj się, że wnet cię opuści, bo i cóż więcéj od ciebie żądać może?.. a nie czekają was święte, wielkie powinności małżonków, jakie by wam urokiem otoczyły życie—samo więc tylko rozłączenie pozostaje dla was—i z téj tak pięknéj waszéj miłości pozostanie jednemu: czczość, przesycenie, nuda—drugiéj: żal, wstyd i hańba.

* * *

Gustaw zdziwił się nie mało, gdy mu służący wymienił nazwiska dwóch przybyłych kobiét.

Kazał jednak prosić.

— Wszak nie spodziewani goście — rzekła wesoło Aurelia — no jakże się masz... powiedz prędzéj... uspokój tę biédaczkę!— I z figlarnym giestem wskazała Kamillę.

— Gustawie!... jaki ty blady. — poszepnęła Kamilla, schylając się do twarzy kochanku — musisz ciérpić... bardzo wiele ciérpić...

— Tak dosyć... ale co tam... to przejdzie... mała rzecz.

— Ach nie mów tego!... bo nie małą jest rzeczą twoje ciérpienie... kiedy ty ciérpisz... i ja również ciérpię.

— Daj pokój Kamillo tym uniesieniom — rzekł zimno Gustaw — bo i na cóż się one zdadzą... cóż nam przyjdzie z dłuższéj miłości?... daleko lepiéj zostańmy nadal przyjaciołmi... albo jeżeli możesz, zapomnij mnie zupełnie... a i ja również się o to postaram.

— Gustawie!... co mówisz! — zawołała żałośnie Kamilla — eh.... chyba to żarty...

igraszka... nie... nie ja temu nie wierzę... tylko chciałeś mię zmartwić wszak prawda?

— Nie... szczérze ci mówię,.. że nam dłużéj z sobą przestawać nie można... ty masz obowiązki.., i ja je także mieć mogę.

— Boże!... co słyszę!—zawołała ze łzami Kamilla, a więc już ci się naprzykrzyłam... już mnie nie kochasz.

— Będziesz moją przyjaciołką... lecz kochanką... sy... sy,.. sy...

— Czy rana ci dolega?—zapytała z troskliwością Kamilla.

— Ale o czém ja mówiłem?... a... tak, więc moja Kamillo powinnaś mnie usłuchać... bo moją kochanką już być nie możesz... nie chciał bym bowiem ciągle być wystawionym na sztychy, wymierzane przez twojego męża.

— O mój Gustawie — rzekła pani Dańska obciérając oczy — przecież świat szeroki... a nam trzeba tak mało... gdziekolwiek znaleźlibyśmy spokojne schronienie.

— Daj pokój tym romansowym wyobrażeniom, dziś w innym zostajemy świecie inaczej też nam żyć potrzeba.

— A więc ta twoja tak namiętna... tak gorąca miłość—rzekła łkając Kamilla—była tylko fałszem, udaniem?

— Czyż nie dość dwa miesiące być szalonym chciałabyś więc, ażebym *ci całe* poświęcił życie.

— Aurelio.... czy słyszysz co on mówi?—zawołała Kamilla—o ja nieszczęśliwa! po cóż mi było poznać co to miłość, kiedy ją tak okropnie i tak wkrótce utracić miałam.

— Nie narzekaj moja Kamilciu—rzekła Aurelia, gdyż miłość której złorzeczysz,otworzyła ci drogę do poznania i emancypacyi.

— Co mi z niéj,.. gdy już nie jestem kochaną... ach! chyba umrę z żalu.

— Pocieszy cię emancypacya, żyj tylko wesoło i wystawnie... otocz się kołem mężczyzn... śmij się i szydź z niemi... jeździj

konno i pal cygara... a zobaczysz że wnet zapomnisz swojego platonizmu.

Kamilla nie słuchała prawie słów lwicy,—głowę smutnie opuściła na piersi—łzy płynęły po jej policzkach.— Spojrzała nakoniec na Gustawa myśląc, że może w jego obliczu wyczyta jakową otuchę. Lecz omyliła się, oblicze młodzieńca było zimném i jednostajném, a jego powieki, jakby zmęczone, kiedy niekiedy przymykały się.

Poznała Kamilla, iż dłużéj nie miała po co zostawać w tych miejscach, zwracając się więc do Aurelii, rzekła:

— Pójdziemy.

— A dobrze.. kiedy tego chcesz... tylko moja droga nie płacz... i lepiéj mnie usłuchaj.

— Żegnam więc ciebie panie — rzekła Kamilla ze łzami w oczach biorąc dłoń Gustawa—żegnam może na wieki.. bądź

szczęśliwym... już więcéj mnie nie ujrzysz już więcéj ci się naprzykrzać nie będę... bądź zdrów.

Łkania stłumiły dalsze jéj słowa—ścisnęła rękę młodzieńca, a ukrywając twarz w chustce, wybiegła z pokoju.

Smutny stan Kamilli wzruszył i rozrzewnił Gustawa—chciał zatrzymać jéj rękę, lecz Kamilla zbyt szybko ją usunęła—wzniósł oczy ażeby spojrzyć na nią—Kamilla odwróciła się—zawołał na odchodzącą pani Dańśki nie usłuchała słów jego i te tylko już we drzwiach dopowiedziała słowa.

— Za późno... za późno Gustawie... teraz już wiém czego bym się mogła od ciebie spodziewać... a być przedmiotem litości nie chciała bym... i raczéj nad nią śmierć bym przełożyła.

Po tych słowach wyszła wraz z Aurelią.

Jakiś czas po odejściu kochanki, Gu-

staw uczuł w swéj duszy rodzaj żalu—wraz z wyrzutem sumienia—nie długo jednak się uspokoił, a utrudzony nurzącą go rozmową, przymknął oczy—i wnet zasnął głęboko.

Kilko godzinny sen zatarł w jego umyśle nie dawne wrażenia, i Gustaw obudziwszy się, uczuł zupełną swobodę jak gdyby wielki ciężar spadł z jego piersi.

Nie tak się miało z Kamillą — ją jeszcze nie przesyciła miłość — przeciwnie, w całéj sile tlała ona w jéj piersi—żal téż jéj nie miał granic — i słowa Aurelii nie mogły ją pocieszyć—boleśnie tylko uśmiéchnęła się, kiedy baronowa mówiła o emancypacyi.

Smutek Kamilli był długim i głębokim—zmniejszyło go cokolwiek oddalenie się z Warszawy i przybycie na wieś do rodzicielskiego domu. Zwolna starania około rodziców, którzy coraz starsi, coraz bardziéj

ich wymagali — nowość zajęcia i czynne życie, jakie wiodła otoczona ludźmi prostemi lecz szczeremi i prawemi — ukoiły cokolwiek jej żal, zaczęły skłaniać i serce do innych szlachetniejszych uczuć od tego, jakiemu dotąd tak bardzo się oddała. Tkliwe przywiązanie do dawców swojego życia—litość jaką starała się znaczyć wszystkie swoje czyny—wdzięczność jakiej owoców dzień z dniem coraz więcej zbierała—wkońcu, w zupełności wyrugowały z jéj serca obraz Gustawa, i nowemi kwiatami przystroiły jéj życie, jakie niedawno zdawało się jéj zupełnie bezbarwném.

Wkrótce po przybyciu córki, ojciec Kamilli, poznawszy jak niestosownym był mąż przez niego wybrany, zaczął czynić starania o ich rozłączenie.

Tym sposobem głowie Dańskiego groził srogi, przewidziany przez niego cios—chciwość łakomcy surowo ukaraną być

miała—wielkie mienie Kamilli już do niego należéć nie będzie—po nim zostaną mu tylko żal, gorycz i smutne, bolesne wspomnienie.

miasta—*wielkie mienie* Kamilli już do niego należeć nie będzie—po nim zostaną mu tylko żal, gorycz i smutne, bolesne, wspomnienie.

VIII.

WYZNANIE.

W następstwie wypadków, trzeba nam będzie przejść do Konrada spieszącego na wieś, ażeby zadosyć uczynić poleceniu ojca.

Nie czekając i chwili, Konrad natychmiast udał się na pocztę i bezzwłocznie wyjechał.

Wkrótce też stanął na miejscu.

Przejeżdżając przez wieś, w której przepędził młodzieńcze swe lata, Konrad smę-

tnie się uśmiéchnął i w milczeniu, ze łzą w oku, przypatrywał się otaczającym go przedmiotom tak dobrze mu znanym.

W pamięci stanęła mu cała przeszłość: widział siebie małym chłopcem rzeźwym i wesołym, biegającym po tych polach;—słyszał ryk znanego mu bydła;—beczenie jagniąt, wspólnie z którémi nie raz przewracał się po trawie;—widział się z wolnym, swobodnym umysłem, nie obarczonym kłopotami i myślą o przyszłości—i westchnął, bo mu żal było przeszłego życia, bo dziś, życie jego było uznojone trudem, bo dziś, nie raz już odbył walki z losem—doświadczył przykrości, kłopotów, cierpienia, a nawet czasem niedostatku.

Zajechawszy przed dom w którym mieszkał jego ojciec, Konrad zeskoczył z bryczki i we drzwiach spotkał się z Mateuszem.

— Dobrze że przyjechałeś — rzekł Mateusz wprowadzając syna do pokoju—ocze-

kiwałem też cię z niecierpliwością, chciał bym ci bowiem uczynić wielkie wyznanie, piérwéj nim umrę.

— Zkąd ci ojcze mówić o śmierci — rzekł Konrad—kiedy widzę że jesteś zdrów, i tak dobrze wyglądasz.

— Jak wysłuchasz tego co ci powiem, nie będziesz się dziwić méj mowie... ale rozgość się... odpocznij... to bowiem co ci mam powiédzić, zajmie kawałek czasu.

Wytchnąwszy po drodze, Konrad, może w godzinę po swojém przybyciu, był już gotów, do słuchaniu opowiadań ojca. Jakoż Mateusz zaprowadził go do swego pokoju, a zamknąwszy drzwi na klucz, rzekł:

— Najpiérwéj winienem ci powiedzić Konradzie, o czém pewno nie wiész, że mam gościa.

— Gościa?... jakiego?... i czemuż go dotąd niewidziałem.

— Jest nim doktór Hoeckel — odpowiedział Mateusz — przybył on umyślnie aż

z Warszawy, ażeby zająć się mojém zdrowiem... jakoż jak widzisz, pomogły jego rady—dodał gorzko się uśmiechając.— Że jednak nie chcę—mówił dalej Mateusz—ażeby Hoeckel wiedział o twoim przyjeździe— umyślnie nie mówiłem ci nic o tém, i teraz proszę cię, ażebyś *wszelkiemi sposoby*, unikał *z nim* spotkania.

— Dobrze... stanie się jak tego chcesz ojcze... a teraz, jeżeliś tak łaskaw, przystąp do opowiadania.

— Prawda... trzeba raz to uczynić... ależ jak okropnie przypominać przeszłość... odgrzebywać tak okropne pamiątki z ruin zapomnienia... ach! *samo ich wspomnienie* dreszczem mię przenika... nie wiém czy będę miał odwagę... lecz stało się... raz trzeba uczynić tę bolesną spowiedź, co czy prędzej czy później musiał bym uczynić, chcąc zasłużyć na miłosierdzie Boga.

„Ażeby odkryć ci wszystko mój Konradzie—*mówił Mateusz* — muszę zacząć od

mojéj młodości. Dwanaście lat miałem wtedy, kiedy pierwszy raz wszedłem w świat, sam jak sierota—miałem wprawdzie rodziców, lecz ci na ówczas w tak smutnym byli stanie—taka nędza panowała w małym naszym domku, iż jednego dnia, zniechęcony niedostatkiem, jaki przy rodzicach ponosić musiałem, a sądząc, że na świecie bardzo mi łatwo przyjdzie znaleść dostateczne utrzymanie, cichaczem opuściłem miejsce urodzenia, i z drugim, w równym mi wieku chłopcem, który podobnież jak ja myślał szukać szczęścia pomiędzy ludźmi, puściłem się w drogę nie wiedząc gdzie idę... ani co mnie czeka.

„Wkrótce jednak, okazało się, jak mylném było nasze zdanie o świecie: zaraz na wstępie drogi—zbłądziliśmy—zapuściwszy się w gęste lasy, straciliśmy ślad ludzi, błądząc kilka godzin pośród nie przebytéj kniei. Ponieważ było to w Styczniu i prócz tego że czas był mroźnym, jeszcze obfity padał

śnieg, wkrótce więc do kości przeziębliśmy, a głodni i utrudzeni, usiadłszy pod drzewem na kupie kamieni, zaczęliśmy rzewnie, gorzko płakać. Tym czasem powoli zbliżała się noc, księżyc wszedł na niebo i osrebrzył nas swojém światłem—gwiazdy migały nad nami, wiatr z szelestem poruszał uschłemi gałęźmi. Do utrudzenia i zimna, przyłączyła się bojaźń — drżąc, tuliliśmy się do siebie, a wskazując jeden drugiemu rozliczne przedmioty, jakie w rozognionéj naszéj wyobraźni, wydały nam się widmami, jeszcze bardziéj powiększaliśmy bojaźń swoją.

„Kiedy tak siedziemy przy sobie, nagle, w niejakiém oddaleniu od nas, rozległo się okropne wycie, bardziéj jeszcze powiększone przez nocną ciszę. Poznałem głos wilków, i wnet wszystkie dawniéjsze powieści, jakie nie raz słyszałem opowiadane przy kominkowym ogniu — gawędy o wilkołakach—o upiorach, przemienionych w tego srogiego zwierzęcia, odrazu stanęły mi

w umyśle i do reszty odjęły mi odwagę. Mój towarzysz, wydał głośny krzyk, a zrywając się z ziemi, zawołał:

— „Mateuszku!.. uciekajmy—to wilcy...

„I daléj nie mógł mówić, — wyciągnął przed siebie prawą rękę—nieruchome spojrzenie utopił w otaczającéj nas gęstwinie— i stał tak nieruchomy, blady, jakby tknięty urokiem.

„Pociągnięty jakąś nie pojętą siłą, zwróciłem oczy w stronę przez niego wskazywaną, i, któż wyrazi bojaźń moją, ujrzawszy może o dwieście kroków, świecące się oczy wilków, jakie widać było, iż musiały nas zwęszyć, przeskakiwały bowiem zarośla i krzaki, i coraz bardziéj ku nam się zbliżały.

„Okropną wydała się ta scena przy świetle księżyca, który powtarzając na śniegu obraz każdéj potwory, czynił liczbę ich jeszcze większą—bardziéj dla nas straszną.

„Nie straciwszy przytomności jak mój

współtowarzysz, szarpnąłem go za ramię, a zawoławszy nań:

— Dalej Jasiu... na drzewo... to jedyny sposób uratowania się tak okropnéj śmierci,—jednym skokiem dostałem się na gałęzie o kilka kroków od nas stojącego drzewa, a drapiąc się jak kot, wnet, znalazłem się na jego *wierzchołku.*

„Zaledwie tam przybyłem, dał się słyszyć krzyk okropny, bolesny — spojrzałem na dół — chmara wilków stała pod drzewem — inne wyrywały sobie jakiś szary przedmiot, przypatrzywszy się lepiéj poznałem, że to było ciało biednego mego przyjaciela.

„Zimny dreszcz przebiegł moje członki, złożyłem ręce i zacząłem dziękować niebu za swe wybawienie.

„Całą noc i większą część dnia przepędziłem na drzewie, już wilków nie było widać—tylko z daleka rozlegało się jeszcze ich wycie, a ja nie śmiałem ruszyć się

ze zbawczego dla mnie miejsca. Ale nakoniec przemogłem bojaźń, i powoli zacząłem spuszczać się na ziemię.

„Bardzo smutném było teraz moje położenie: krew ciekła mi z rąk i nóg, jakie pokaliczyłem sobie o chropowatę korę drzewa, a nie *mogąc spłynąć, gdyż zimno nie dozwalało jéj tego—marzła na mojém ciele*. Zaledwie mogłem iść tak byłem słaby i znużony —ból i głód dokuczały mi okropnie. Uszedłszy kilkanaście kroków usiadłem znowu, a czując się coraz słabszym, pewny byłem że umrę na tém miejscu. Jakoż, nagle uczułem zawrot głowy, w oczach mi się zaćmiło, a zimno, jak gdyby wszystka krew krzepła w moich żyłach, tak dalece mię przejęło, że nie mogąc utrzymać się o własnéj mocy, zachwiałem się i upadłem.

„Ciemno było gdym otworzył oczy—w około mnie nie widać było ani drzew, ani śniegu, tylko drewniane ściany chaty, zakopcone i brudne;—nie leżałem na ziemi,

lecz na sporym pęku siana, przykryty grubym kożuchem, którego ciepło bardzo mi się miłém wydało po tak długiej bezsenści i zimnie. Jakaś stara, odrażającej twarzy kobieta siedziała przy mnie, szybko przesuwając kądziel.

„Na poruszenie jakie uczyniłem, przystąpiła ona do mego łoża, a widząc że mam otwarte oczy, rzekła do kogoś, którego widzić nie mogłem:

— „Obudził się.

— „A to dobrze... bo doprawdy myślałem że wiecznie spać będzie — odpowiedział gruby głos, i wnet z zapiecea, wyszedł mężczyzna lat pięćdziesięciu kilku.

„Przystąpił do mego łóżka, wziął mię za rękę, spojrzał mi bystro w oczy, i zapytał:

— „Jakże się masz chłopcze?

— „Lepiej mi — odpowiedziałem — ale panie, powiedz, zkąd się tu wziąłem.

— „Zkąd—odpowiedział śmiejąc się—

a, znalazłem cię na śniegu... na pół żywego... i w takim stanie przywiozłem cię aż tutaj, gdzie ta poczciwa kobiecina—i wskazał starą niewiastę nie przestającą prząść—tak długo się starała, aż przecie otworzyłeś oczy... i ot, znowu odżyłeś.

„Co dalej mówił nie pamiętam, osłabienie bowiem jakie dotąd czułem w całém *ciele, wprawiło mię* w *powtórny* sen.—Również nie wiém jak długo spałem, musiał być jednak dosyć długim mój spoczynek, gdyż obudziwszy się, usłyszałem śpiew ptaków, a słońce niedawno weszłe, odbijało swe promienie na mojém posłaniu.

„Ale ani blask słońca, ani świergotanie ptaków, nie było powodem wyrywającym mnie z posilnego snu; otworzyłem oczy, zbudzony głośną rozmową, toczącą się w drugiéj izbie, od któréj tylko cienkie przedzielało mnie przepierzenie.

— „A co, czy nie miałem słuszności—rzekł człowiek któremu winien byłem, że

nie umarłem na śniegu — iż ten chłopiec silny i dobrze zbudowany... właśnie jakiego panu potrzeba.

— „I chcesz mi go odstąpić.

— „Tak... za piętnaście rubli zleję na pana wszystkie moje prawa, jakie mam nad tym malcem.

— „Prawa?.. i jakie?.. przecież nie jest ani twym *krewnym, ani synem?*

— „A czyż nie zachowałem mu życia?.. bezemnie jużby pewnie nie żył.

— „Zachowałeś mu życie, bo to życie było ci potrzebném, bo za pomocą tego małego biedaka, mogłeś był zrobić dobry interes.

— „Dobry interes... i cóż pan nazywasz dobrym interesem?.. przeciwnie, panu trzeba powinszować, bo masz zysk widoczny, tak prędko otrzymując chłopca, jakiego chciałeś, ażeby ci się wystarać.

— „To prawda, że potrzebuję do posług młodzieńca pewnego i na którego mógłbym

się spuścić, nie myślałem jednak, ażebym za takowego płacić musiał.

— „Kiedy jednak ja go panu chcę oddać na zupełną własność, i za to żądam kilku rubli... pan się wzdragasz... fe! to być nie powinno.

„Dalej nic usłyszyć nie mogłem, nie wiém bowiem czy *domyślili się, że ich słucham, czy dla innych powodów*, dosyć, że zupełnie zniżyli głos, tak, iż ani jednego słowa schwytać nie mogłem. Z tego jednak co doszło moich uszu, łatwo odgadłem, że byłem przedmiotem spekulacyi człowieka, którego dotąd za swego wybawcę uważałem.

„Jeszcze jakiś czas rozmawiali z sobą— nakoniec otworzyły się drzwi i wyszedł z nich mój opiekun, z wraz z mężczyzną średnich lat za zbyt wysokim i za zbyt szczupłym. Cera jego twarzy była żółta i blada, policzki zapadnięte i kościste.

— „Wstawaj chłopcze... obudź się—za-

wołał teraźniejszy mój pan, trzęsąc mię za ramię—umyślnie bowiem przymknąłem oczy aby udać śpiącego—wstawaj no... wstawaj prędzéj, musisz iść za tym panem.

„I wskazał mi nie znajomego mężczyznę.

„Nie mówiąc ani słowa, wstałem i ubrałem się przez czas, w którym mój wybawca—w drugiéj *izbie, liczył pieniądze za* jakie nabywano od niego możność rozrządzania mną.

„Nowy mój pan, był to szuler w całém znaczeniu tego wyrazu; całe dnie i noce przepędzał on nad kartami, wraz z wielu podobnemi sobie ludźmi. Pomiędzy niemi poznałem pana Dańskiego, który na ówczas mając zaledwie *lat* dwadzieścia, odznaczał się już chciwością i łakomstwem.

„Jednéj nocy, pamiętam bardzo dobrze a była to noc nadzwyczaj burzliwa, gdy jak zwykle zebrali się u mego pana codzienni goście—nagle pan Dański, dotąd

grający w tłumie powstał, a wyjmując z kieszeni kilkadziesiąt tysięcy złotych papiérami, zawołał:

— „Banko!

„Wszyscy jednomyślnie spojrzeli na mówiącego;—podobne słowa wydały się im szaleństwem, w banku bowiem ogromna znajdowała się summa. Niczyj jednak przestrach, nie mógł się równać z przelęknieniem bankiera—a był nim mój pan—zbladły, zerwał się z krzesła, i zaczął ciągnąć karty drżąc jak w febrze.

„Stojąc za nim mogłem uważać rozpaczne jego poruszenia.

„Nakoniec rozstrzygł się los jego—fatalna karta wyszła na korzyść przeciwnika—przegrał wszystko.

„Z zimną krwią Daiński zgarnął pieniądze.

— „Jeszcze gram!—zawołał mój pan, a usta mu drżały—stawiam tę resztę i tego

chłopca w dodatku—rzekł, zwracając się do mnie.

— „Dobrze... zgadzam się—odpowiedział Dański.

„I znowu zaczęli i znowu szczęście przechyliło się na stronę Dańskiego.

„Żadna oznaka rozpaczy, nie okazała się na twarzy mego pana, tylko usta silniej zacisnął—ręce skrzyżował na piersiach, zerwał się i wybiegł z pokoju.

„Nie wyszło pięć minut, kiedy rozległ się wystrzał z pistoletu.

„Nieszczęśliwy szuler nie żył.

„Odgłos wystrzału, żadnego nie wywarł wrażenia na zgromadzonych graczach.

„Żaden z nich nawet nie uniósł głowy—nie oderwał oczu od trzymanych kart.

„Nie mogłem się wydziwić, téj ich obojętności... ustraszyła mię ta zimna krew tych ludzi.

„Aż nakoniec Dański powstał, i skinie-

niem ręki dał mi znać, ażebym się udał za nim.

„Byłem mu posłuszny.

„Od tego to dnia, zacząłem pełnić moje przy nim obowiązki, a wkrótce, tak dalece umiałem zaskarbić sobie względy Dańskiego, *iż* zostałem najpiérwszym jego poufalcem.

„W tym czasie umarł ojciec mego pana, który dotąd, nie wiedział nic o niekoniecznie zaszczytnych postępkach swego syna, Dański bowiem zawsze umiał ukryć je przed jego wzrokiem.

„Odziedziczywszy ogromny, przypadły nań w jednéj połowie po ojcu majątek, Dański, stał się zarządcą drugiéj, i głównym opiekunem siedemnastoletniéj swéj siostry. Bronisławy.

* * *

Tutaj Mateusz zatrzymał się w swém opowiadaniu—opuścił głowę na ręce i za-

myślił się głęboko. Po chwilowém milczeniu, rzekł, zwracając się do Konrada.

— A teraz słuchaj z całą uwagą, to bowiem co mam dopowiedzić, ciebie się głównie tycze.

— Z niecierpliwością oczekuję dalszych słów twoich—odpowiedział Konrad—mów więc... słucham...

Mateusz znowu się zamyślił—potarł ręką po czole, jak gdyby chciał spędzić jakąś przykrą myśl—i tak zaczął:

IX.

DAŃSKI NAD POPRZEDZAJĄCEGO,

Pomiędzy głównemi rysami odznaczającemi charakter Dańskiego, były dwie namiętności: duma i chciwość—w ich zadowoleniu widział on jedyny cel życia — jedyną metę dążenia, nic więc nie było dziwnego, że Dański okropnie się uniósł, dowiedziawszy się, iż Bronisława, bez jego wiedzy, pokochała młodego Komissarza dóbr swego brata. To, jak mniemał, poniżenie się siostry, podyktowało mu krok gwałtowny,

którego skutków doświadczyła Bronisława, zostawszy obarczoną ciężkiemi wyrzutami— doświadczył Wacław, ujrzawszy się oddalonym od obowiązków. Nic jednak to nie pomogło. Surowy postępek brata z jéj kochankiem, nie tylko, że nie przytłumił w sercu Bronisławy miłości dla niego, ale jeszcze gwałtowniejszą natchnął ją namiętnością—jaką powodowana, skrycie oddała mu swą rękę, i podzieliła jego niedostatek.

„Nigdy nie zapomnę gniewu, jakim się uniósł Dański, kiedy doniesiono mu o tym czynie siostry—umiał jednak stłumić go w sobie, a zostąwując do czasu zadowolenie swéj zemsty, pozornie okazywał się dosyć skłonnym do przebaczenia Bronisławie jéj postępku.

„Aby więc jeszcze lepiéj okazać swą łagodność—również przebaczył Wacławowi, a przywoławszy go do siebie, oddał mu zarząd całkowitych dóbr swoich.

„Kilka miesięcy ciągnęło się szczęście

młodych małżonków, którzy nie przeczuwając jaka burza zbierała się nad ich głowami, swobodnie oddawali się wzajemnéj, tkliwej miłości.

„Ale ta pomyślność wkrótce runęła.

„Hasłem do jéj upadku, był zbliżający się czas rozwiązania Bronisławy.

„Bo i któż mógłby się dziwić, któż nie uwierzyłby, usłyszawszy iż, Bronisława dając życie innej istocie, sama utraciła swoje.

„Śmierć więc jej była by usprawiedliwioną w oczach świata — lubo w obliczu nieba byłaby skutkiem zbrodni—niebo jednak nie odkryje przed ludźmi całej zgrozy, całej ochydy występków, w jego obliczu popełnionych.

„Dański mógł być spokojnym: mógł za jednym razem zadowolić zemstę i łakomstwo: odbierając życie siostrze i dziedzicząc pozostały po niéj majątek.

„I bez długiego namysłu przystąpił do

wykonania swych planów z jakiemi zwierzył się mnie i doktorowi Hoeckel.

„Ja więc i Hoeckel, mieliśmy być uczestnikami jego zbrodni.

„Ale ani ja, ani lekarz, nie ulękliśmy się jej—ja bowiem całkiem oddany memu panu, *widziałem tylko jego wolę i jej zadosyć uczynienie*—dusza zaś medyka, za zbyt była ztwardniałą, ażeby się śmierci miał ulęknąć.

„Świadomy planów Dańskiego, niekiedy uczuwałem w swej duszy rodzaj żalu, pomyślawszy, jak prędko miało skończyć się szczęście Bronisławy i Wacława,—wnet jednak jak pokusę szatana,odpędzałem wszelki żal i współczucie.

„Tak nadszedł czas w którym Bronisława miała zostać matką.

„Ponieważ Wacław, byłby tylko zbytecznym i niebezpiecznym świadkiem, Dański więc, wynalazł tak ważne powody, iż

Wacław koniecznie na kilka dni musiał wyjechać.

„Dość było tego czasu dla spełnienia zbrodni.

„Zaraz nazajutrz po oddaleniu się męża, Bronisława wydała na świat bliźnięta. jedném z nich byłeś ty Konradzie, a *drugiém twój brat Leon.*

— Czy być może! — zawołał zdziwiony. Konrad—a więc nie jestem twoim synem.

— Czyż nie mówiłem ci o tém zaraz na początku méj historyi.

— Gdzież więc jest moja matka?... gdzie ojciec?... cóż się z niemi stało?... ach mów... mów... umiéram z niecierpliwości.

— Twoja matka—powtórzył Mateusz—patrzałem na jéj skon... na jéj pasowanie się ze śmiercią—widziałem jak wyciągała do mnie ręce, ażebym dał jéj dzieci, które z rozkazu Dańskiego odsunąłem z przed jéj wzroku—i ta biedna kobiéta umarła, bez pociechy przytulenia was do swéj piersi,

umarła w okropnych bólach—przedwczesną śmiercią, jaką przyspieszyła jéj ręka brata i oddanego mu lékarza.

„Po śmierci Bronisławy, wypadało Dańskiemu, uczynić coś z pozostałemi po niéj dziećmi; ażeby ci, z czasem, nie upominali się o spadek, z matki na nich przypadający.

„Hoeckel radził, ażeby powtórną zbrodnią od nich się uwolnić, ale Dański nie zgodził się na to, a układając dalsze plany zemsty, rozkazał mi jedno dziecię wziąść do siebie, a drugie pozostawić dla okazania go Wacławowi.

„Uczyniłem tak jak mi *było poleconem*—że zaś prócz nas trzech—nikt więcéj nie wiedział o narodzeniu się bliźniąt, łatwo więc mi były zastosować się do rozkazów mego pana.

„Téjże saméj chwili, kiedy Bronisława zamknęła oczy, Hoeckel wraz z Dańskim

przeszli do pobocznego pokoju, i tu medyk rzekł:

— „Umyślnie prosiłem cię panie o chwilę rozmowy, mam bowiem do ciebie maleńki interes.

— „Cóż takiego?—zapytał Dański.

— „Czytaj pan... i podpisz.

„Dański zaczął: było to świadectwo jakie Dański wydawał swemu doktorowi, iż za jego rozkazem i wiedzą, Hoeckel przyspieszył śmierć Bronisławy.

„Przyłożywszy oko do dziórki od klucza, a ucho do szpary we drzwiach — widziałem i słyszałem całą powyższą scenę.

— I dla czegóż lekarz, żądał podobnego świadectwa?—zapytał Konrad.

— Dla czego? oto, ażeby w czasie, miał dowód z czyjego działał rozkazu, a tym samém, ażeby Dańskiemu odjąć chęć szkodzenia mu, jeśli by ten, kiedy, zechciał zrzucić z siebie winę, i obarczyć nią doktora.

— A biedny mój ojciec... cóż się z nim

stało?... musiał wiele cierpić dowiedziawszy się o śmierci swéj żony?

— Żal jego był nie do opisania—była to rozpacz czarna, głęboka.

„Skutkiem téj wpadł w straszną melancholiją, jaka cały umysł jego opanowała.

„Odtąd *samotność stała się ulubioną* jego rozrywką, a najoddaleńsze i najdziksze części lasu, najmilszemi miejscami przechadzki.

„Tak zeszło kilka dni, kiedy pewnego razu, Dański przywołał mnie do siebie i zapytał, czy bym nie wiedział o jakiém nowonarodzoném dziecięciu, które by było bliskiém śmierci.

„Ponieważ w tym czasie dogorywało dziecię jednego włościanina, odpowiedziałem więc—że wiém o takowém.

— „To dobrze mój Mateuszku — odpowiedział mi—trzeba zatém ażebyś pilnował kiedy ono umrze i natychmiast, skoro je

tylko pochowają, wydobył je z ziemi i przyniósł do mnie.

„Znowu uczyniłem jak mi Dański kazał i trzeciego dnia, po chwili, w której otrzymałem od niego powyższe polecenie, stanąłem przed nim, mając pod płaszczem *zwłoki dziecięcia.*

„Na prost Dańskiego stał doktór.

— „Otóż i Mateusz — rzekł Dański—i cóż, czy stało się tak jak ci mówiłem?

— „W zupełności —odpowiedziałem, uchylając płaszcza.

— Lecz czy trup świeży—rzekł Hoeckel dotykając ręką zwłok niemowlęcia.

— „Dopiero dwa dni jak umarło—odpowiedziałem.

— „Trochę za długo... cóż jednak robić... trzeba brać jakie jest.

„I mówiąc to doktór, odebrał z rąk moich małego trupa, i zaczął się mu przyglądać. Nakoniec wziął ze stołu jedno z przygotowanych chirurgicznych narzędzi,

i tak dalece pokrajał nim głowę i twarz dziecięcia, iż własna matka, nie poznała by go. Rany jakie powstawały pod ręką medyka, miały kształt ran zadanyrh przez silne, kilkakrotne uderzenie.

„Dopełniwszy tego Hoeckel, oddał mi napowrót dziécię wraz z *flaszką krwi.*

— „*Zanieś* to do lasu—rzekł, w miéjsce, do którego zwykle Wacław uczęszcza, i porzuć dziécię pod piérwsze lepsze drzewo, którego korę piérwéj dobrze krwią oblej. Uczyniwszy to obejdź lasem i powracaj do mnie.

„W milczeniu słuchałem powyższych słów doktora, dopiéro poznając w całéj rozciągłości obrzydły plan zemsty mego pana, gdyż jak mogłem się domyślić, chciał on, zbrodnią dzieciobójstwa obarczyć męża swojéj siostry.

„I tak się stało: Wacław jak zwykle udał się na samotną przechadzkę—pan Dański wynalazł jakiś interes i do siebie przy-

wołał mamkę karmiącą ciebie Konradzie, wtedy ja pobiegłem do twéj kołyski, a zatykając ci usta, ażebyś nie płakał, poniosłem cię do siebie, i wnet potém razem z doktorem, którego niby odwoziłem do domu, wyjechaliśmy z mieszkania Dańskiego.

„*Jeszcze z pół wiorsty mieliśmy od miejsca, w którém leżały* zwłoki *dziecięcia*, kiedy usłyszeliśmy krzyk Wacława.

„Widać było iż spostrzegł trupa.

„Nie czekając i chwili, razem z doktorem, zacząłem dążyć w głąb lasu.

„Wkrótce za nami nadbiegła przestraszona mamka,

„*Dostawszy* się na miejsce na którém przestraszony Wacław w ponurém milczeniu stał nad zwłokami dziecięcia, dopiero odgraliśmy scenę przytrzymania mniemanego dzieciobójcy.

„My też mieliśmy być świadkami przed sądem, który na nasze zeznania, skazał twego ojca na dożywotnie więzienie.

— A więc może jeszcze żyje?... może go jeszcze ujrzę — zawołał Konrad skwapliwie—mów... mów nieszczęśliwy gdzie on jest... choć tém zmniejsz ciężar swojej zbrodni.

— Tam go znajdziesz — odpowiedział Mateusz pokazując na niebo.

— A więc umarł?

— Tak jest... ale nie zginęły twoje i twego brata prawa... połowa mienia Dańskiego do nas należy... ja dopomogę wam do jéj odzyskania—a jednak wiedz panie Konradzie—mówił daléj Mateusz, że już był czas, kiedy sądziłem, że tajemnica którą ci dziś odkryłem, na wieki skrytą dla ciebie pozostanie, i nigdybyś się o niej nie dowiedział, gdyby nie niewdzięczność tego, któremu wszystko poświęciłem.

Tu Mateusz odkrył Konradowi cały postępek doktora, znany nam z listu jaki Hoeckel pisał do Dańskiego, po czém tak daléj mówił:

„Jeden tylko przypadek dopomógł mi do odkrycia zdrady, kiedy bowiem parę dni temu niespodzianie wszedłem do pokoju, w którym się Hoeckel znajdował, znalazłem go pochylonego nad stolikiem. Powodowany tajemnem przeczuciem, na palcach zbliżyłem się do niego i spostrzegłem, że *adresował list do Dańskiego*. Ujrzawszy mię, widocznie się zmięszał i jak mogłem uważać, starał się ukryć przed mojém wzrokiem bilet, jaki przed chwilą zwrócił mą uwagę.

„Całe to postępowanie doktora zrodziło w méj duszy podejrzenie—nie okazałem go jednak na sobie, a udając obojętność, wyszedłem, ażeby czatować na posłańca, któremu Hoeckel miał doręczyć pismo mające dojść rąk Dańskiego.

„Na moje prośby, albo raczéj za pieniądze, jakich mu nie szczędziłem, dozwolił mi odnosiciel pisma, przeczytać je.

„I nie omyliłem się w mych przeczuciach: list jaki widziałem przed sobą groził mi śmiercią nie spodziewaną... pewną.

„Po dwakroć powtórzyłem każdy wyraz fatalnego pisma, nakoniec zapieczętowawszy je przy stoczku, jaki miałem przy sobie, przyłożyłem moją własną pieczątkę, pewnym będąc, *że Dański żadnéj na to nie* zwróci uwagi.

„Pewność śmierci jaką mi Hoeckel zapowiedział, natchnęła mię najpierw zemstą, a potém żądzą poprawienia się choć na chwil parę przed śmiercią.

„Pierwsze postanowienie jakie uczyniłem, przyszedłszy cokolwiek do siebie po gwałtownem uniesieniu, było odkrycie tobie panie, tajemnicy twego urodzenia.

„Teraz zaś, gdy już wiész wszystko, nic mi nie pozostaje, jak tylko wskazać ci sposoby przez które, mógłbyś odzyskać swoje mienie. Jedynym i najpewniejszym

do tego środkiem, jest odebranie doktorowi, wydanego mu świadectwa przez brata twojej matki. Tym bowiem sposobem i doktór i Dański, chcąc ochronić się, ażebyś nie zaniósł zażalenia na drogę sądową, będą musieli zwrócić ci twój majątek.

— *I któż* nam wyda to świadectwo?— zapytał Konrad—przecież *nie Hoeckel.*

— Sami go sobie weźmiemy... choćby nawet użyć gwałtu, musi ono do nas należyć.

— Wiesz zatem gdzie Hoeckel chowa swe papiery.

— Dowód taki jak ten jest największej wagi, nie można więc porzucać go gdziekolwiek, samemu zawsze strzedz go trzeba. Pewnym więc być mogę, że znajdziemy go w jego pugilaresie.

— Rób jak ci się zdaje najlepiej... gotów jestem cię słuchać.

— A więc jutro... w nocy, udamy się

do pokoju doktora, a co do reszty już się spuść na mnie, wszystko urządzę tak, że musi się udać nasz zamiar.

X.

NAPAD.

Nadeszła noc wyznaczona przez Mateusza, Hoeckel nie przeczuwając grożącego mu niebezpieczeństwa, spał smacznie, kiedy nagle przebudził się, uczuwszy, że go ktoś silnie za ręce i nogi trzyma.

Kiedy otworzył oczy, ujrzał się otoczonym kilku służącemi, których dłonie tamowały wszelkie jego ruchy. Opodal, przy blasku lampy, Konrad i Mateusz przetrząsali tłumoki, szkatółkę i pugilares doktora.

Hoeckel chciał krzyknąć o ratunek, lecz zatkano mu usta.

W okropnéj niepewności, obłąkanym wzrokiem, spoglądał on na Konrada i Mateusza, o których nie wiedział czego by szukali, przewidywał jednak iż okropny cios grozi jego głowie.

Nagły krzyk wydarł się z piersi Konrada, widać było, że znalazł to czego szukał.

Na ten odgłos, Hoeckel spojrzał na niego i zbladł.

Na rozkaz Mateusza, jeden z ludzi przytrzymujących doktora, wyjął postronki, i związał medykowi ręce i nogi. Po tém wraz z towarzyszami oddalił się z pokoju.

— Co to ma znaczyć?.. co znaczy ten napad?—zawołał Hoeckel napróżno starając się podnieść z łóżka na którem siedział — kto was ośmielił do przeglądania moich papiérów... czyż zapomnieliście, że sądownie sprawiedliwości poszukiwać mogę,

— O to jest dowód... dowód, jaki może cię potępić—rzekł Mateusz, pokazując doktorowi świadectwo Dańskiego.

— Wspólnie on nas potępi — rzekł obojętnie Hoeckel.

— I cóż może obchodzić nie wiém jaki *wyrok, człowieka*, stojącego nad brzegiem grobu, twemi wykopanego rękami.

Hoeckel zbladł i zadrżał—nawet zwykły mu wyraz szyderstwa opuścił jego oblicze.

Widać, że ostatnie słowa Mateusza, złamały tę *żelazną* duszę.

— Jeden tylko środek, zostaje tobie panie—rzekł Mateusz zwracając się do lekarza—jeśli spełnisz to co ci powiem—jesteś wolnym,—w przeciwnym razie — wiesz co cię czeka.

— I cóż to za środek?—zapytał Hoeckel drżącym głosem.

— Najpierwéj — rzekł Mateusz — abyś napisał list do pana Dańskiego, donoszący

iż, przymuszony okolicznościami wyznałeś wszystko, i że zarazem polecasz mu, ażeby nie zwłóczył z odkryciem prawdy.

— I do czegoż to wszystko doprowadzi? zapytał Hoeckel—czyż byś chciał dzieciom Wacława powrócić ich majątek?

— Zgadłeś... i oto jeden *stoi* przed tobą—dodał wskazując Konrada.

— Czy tak... a zatém są już i sukcessorowie—rzekł Hoeckel, przybierając znowu zwykły, szyderczy ton.... Ale... a następny warunek jakim będzie?...

— Takim—rzekł Mateusz—ażebyś przed wójtem gminy zrobił urzędowe *zeznanie*, wykrywające całą zbrodnię Dańskiego, i zarazem, prawa synów jego siostry.

— Czyli inaczéj, ażebym sam poszedł do więzienia—rzekł Hoeckel—o! nie głupim to uczynić.

— Sądzisz więc, że na mocy tego dowodu—i powtórnie pokazał doktorowi świa-

dectwo Dańskiego—nie otworzą się dla ciebie drzwi więzienia.

Hoeckel przyznał widać słuszność ostatnich słów Mateusza, nic bowiem nie odpowiedział, i tylko zamyślił się głęboko.

— No, a jeżeli bym się zgodził uczynić tak jak mi mówisz—czy przyrzekacie mi—dodał zwracając się do Konrada i Mateusza, iż postaracie się o rychłe moje uwolnienie, choćby nawet za pomocą ucieczki.

— Przysięgam ci na honor—rzekł Konrad, że wszystkich sił dołożę, ażebyś pan był wolnym.

— A więc dobrze... dacie mi papieru i pióra napiszę wam wszystko, co tylko żądacie... cóż mam robić, z dwojga złego, trzeba wybierać mniejsze.

Po tych słowach, Hoeckel, napisał list do Dańskiego, a następnie przed Wójtem uczynił zeznanie, w sposób, zalecony mu przez Mateusza.

Na mocy takowego osadzono go w publicznym areszcie.

Konrad i Mateusz z otrzymanym listem i innemi dowodami zbrodni Dańskiego, wyjechali do Warszawy, ażeby tu, dokończyć rozpoczętego dzieła.

XI.

U DAŃSKIEGO.

Za przybyciem do Warszawy, Konrad wcale nie szedł do siebie, lecz razem z Mateuszem zajął stancyą w hotelu. Jeszcze tegoż samego dnia, opatrzywszy się w potrzebne papiery, poszli do pałacu Dańskiego i kazali się zameldować.

Było to właśnie w chwili, kiedy Dański otrzymał list z poczty od rodziców swej żony, donoszący mu o rozwodzie, o jaki starać

się zaczęli. Ten nagły wypadek, tak bardzo uszczuplający jego majątek, srogo dotknął chciwą duszę Dańskiego—serce łakomcy na jedno tylko złoto czułe, boleśnie ścisnęło się na wiadomość dopiéro co odebraną. Nie miał on na myśli ani honoru, ani dumy, którym groził zupełny upadek —chciwość przemogła w nim ambicyą--*energia, zimna krew* zupełnie go opuściły—boleść, zwątpienienie, rozpacz zajęły ich miejsce. Kto by go widział w téj chwili, nie poznał by dawnego, dumnego bogacza,—sam nie wierzyłby własnym oczom, ujrzawszy łzy jakie ronił ten człowiek. O! któż opisać zdoła rozpacz łakomcy?.. któż umiałby wyrazić uczucia jakie rozrywają mu piersi *gdy złoto*—tę duszę dla niego widzi sobie odebraném.- W podobném téż położeniu znajdował się Dański, w chwili gdy lokaj, oznajmił mu Mateusza i Konrada. Zajęty swojém strapieniem, Dański; nie zważając na słowa służącego, machinalnie wymówił: „prosić”—

Kamerdyner oddalił się, i wnet wprowadził przed swego pana dwóch ludzi, którzy nowy cios zadać mu mieli.

Z początku bogacz nie poznał Mateusza; upłynął nawet jakiś czas, a nie spojrzał na niego; dopiero kiedy Mateusz położył przed nim *list* doktora, Dański, uniósł głowę—zbladł—bo poznał wspólnika swych zbrodni, o którym sądził, iż go już ziemia kryje.

Drżącą ręką schwycił bilet medyka, złamał pieczątkę i zaczął czytać w te słowa:

„Wszystko na nic... wszystko stracone... „Mateusz zdradził nas... albo raczéj, jakiś „szatan poszepnął mu, że chcieliśmy się „uwolnić od niego... i dla tego postanowił „zemstę mnie i tobie panie.... Już ja z jego „łaski, siedzę w téj chwili w stancyjce do „celi podobnéj, zamknięty na kłódki i spusty... pod strażą całéj roty pachołków. „Świadectwo jakie mi panie temu lat dwadzieścia kilka udzieliłeś, znajduje się w rę-

„kach Mateusza... na mocy tego, śmiało mo-
„że ci grozić... z pewnością jest w stanie
„cię zgubić... Nie ociągaj się zatém... uczyń
„tak jak ja, wyznaj prawdę... dobrowolnie
„oddaj połowę swego majątku synom sio-
„stry... przywróć im prawdziwe ich imię...
„a możesz mieć nadzieję, *że ochronisz resztę*
„*dostatków... że przeszłość* w tajemnicy uto-
„nie...

Dański nie czytał daléj, list wypadł mu z rąk—głowa opadła na piersi—rozpacz do reszty zgnębiła jego duszę. Nowy tak srogi cios, nowe straty, wprawiły go w rodzaj obłąkania: zerwał się z krzesła... i jak szalony zaczął biegać po pokoju. *Konrad i* Mateusz, nie umieli słowa przemówić — w milczeniu zapatrywali się na tę rozpacz człowieka, niegdyś tak dumnego i pogardliwego.

Parę chwil Dański mierzył szybkiemi kroki długość swego gabinetu; jego oczy błyszczały obłąkanym ogniem, usta były

zaciśnięte, twarz blada jak marmur. Nakonice przystanął—podniósł głowę i błędny wzrok skierował w stronę, gdzie wisiały portrety jego przodków, sławnych orężem i radą, jacy zdawali się z pogardą i groźbą, zapatrywać się na swego potomka, który prócz chciwości i łakomstwa, niczém więcej się nie odznaczył. Przelękły odwrócił oczy, ale te straszne mary, te malowane postacie ożywione w jego wyobraźni, nie przestawały go ścigać—lubo przymknął oczy, lubo odwrócił twarz, widział je jednak jak groziły mu spojrzeniem—słyszał ponury, cichy szépt, mianujący go brato-bójcą i nikczemnikiem!

Dotknięty do żywego mąż Kamilli, powtórnie rzucił się na krzesło, złożył ręce i zawołał przytłumionym głosem:

— „Łaski... przebaczenia... darujcie mi... darujcie... ach! jak srogie męczarnie!... ucichnij straszny, okrutny głosie który mię taką przejmujesz...bojaźnią....Boże!przebacz mi...ale

nie... nie.... Ty mi nie przebaczysz... ja byłem zbrodniarzem... wielkim zbrodniarzem... a jednak tak bym pragnął wrócić na prawą drogę... modlić się... o! tak! będę się modlił... Bóg mi odpuści winy... wszystko mi zapomnianem zostanie... wszystko... lecz czy to być może... są zbrodnie, są występki... jakich ani ziemia, ani niebo rozgrzészyć nie mogą... brato-bójca... ja jestem brato-bójcą... ja nie powinienem spodziéwać się przebaczenia... potępienie... wieczne potępienie mię czeka... a tu... tu jeszcze tyle ciérpić muszę... lepiéj niech już raz umrę... śmierci się nie lękam.... Daleko ciężéj jest żyć... gdy sumienie obarczone całém brzemieniem zbrodni... o! ja żyć nie powinienem... ja umrę... niech się już raz wszystko skończy... Ale umrzyć mnie... mordercy... umrzyć... a przyszłe życie... a wieczność.... Precz myśli o tém co ma nastąpić... dla mnie nie ma przyszłości... żadnéj przyszłości... tylko nicość wieczna... nieskończona nicość.

Twarz Dańskiego bolesnym wykrzywiła się uśmiechem... zerwał się z krzesła... a nie patrząc około siebie, otworzył drzwi pobocznego pokoju, prowadzącego do zbrojowni, i zniknął przed oczami Mateusza i Konrada.

Okropny stan tego człowieka, silny na nich wywarł wpływ: litość i żal, wcisnęły się do duszy Konrada... Mateusz widząc rozpacz Dańskiego... sprawioną odświeżonemi wyrzutami sumienia... sam również usłyszał w swéj duszy tajemny głos, wystawiający mu jego zbrodnie.... Dla tego też żaden z nich nie był w stanie przemówić jednego słowa, i w milczeniu zapatrywali się na postępek Dańskiego, i na jego tak nagłe odejście.

Dański, znalazłszy się w salonie, którego wszystkie ściany zawieszone były różno-kształtną bronią, schwycił za jeden z pistoletów najbliżéj wiszących, odwiódł ku-

rek i gotów już był odebrać sobie życie. Ale nagle przypominał sobie list doktora, i nieszczęśliwe dzieci swéj siostry, którym wydarł imię i majątek. I postanowił w tym ostanim momencie, wrócić wszystko co im odebrał przez zbrodnię i podstęp—odrzucił więc broń morderczą, wziął pióro leżące na maleńkim stoliczku, umieszczonym przy jedném z okien, i te słowa napisał na ćwiartce papiéru:

„Umiéram bezdzietny... majątek mój już „nie należy do mnie... połowa jego jest pra„wą własnością dwóch synów méj siostry... „których urodzenie, dla ważnych powodów, „dotąd ukrytém było. Aż do téj chwili „nikt nie wiedział o ich istnieniu... dziś do„piéro, tém pismém, wyznaję, że Konrad i „Leon, uchodzący za synów mego niegdyś „służącego Mateusza są prawemi, dziećmi „rodzonéj méj siostry Bronisławy, dla nich „więc prawém sukcessyi, należy połowa ca-

„łego, mego majątku, drugą zaś ja im za-
„pisuję.

Skończywszy Dański podpisał się—a nie dozwalając zastanowieniu przystępu do duszy, znowu podniósł odrzucony pistolet, i przyłożył go do głowy.

*
* *

Za chwilę rozległ się wystrzał.

Dański już nie żył.

Na ten odgłos Mateusz i Konrad, szybko pobiegli do pokoju, w którym Dański popełnił samobójstwo... za niemi przybyło mnóstwo ze służby, dla przekonania się o powodach wystrzału.

Wszyscy oni razem weisnęli się do zbrojowni.

Okryty krwią, z roztrzaskaną głową, leżał Dański na ziemi.

Takim był skon człowieka, który nie baczny na cel swojego istnienia, jedynie oddany dumie i samolóbstwu, widząc za-

grożonym się hańbą i utratą dostatków, podniósł morderczą broń dla odebrania sobie życia. Zadosyć się uczyniło sprawiedliwości nieba: chciwość i łakomstwo same w sobie karę znalazły—egoista skonał na gruzach własnego majątku, na ruinie własnej dumy.

O! Bóg zawsze jest *sprawiedliwym!* prędzej czy później ręka jego dotknie zbrodniarza... wspomoże niewinność... ujmie się za nią.....

Temu wierzmy całą duszą a nic nas nie ulęknie... zawsze znajdziemy dosyć w sobie sił do oparcia się ciosom losu.

XII.

PIERWSZE PAŃSTWO [illegible] Z ICH CÓRKĄ.

—

Wkilka dni po nastąpionej śmierci Dańskiego, ostatniego dnia przed adwentem, Laura siedząc przy oknie, zwróciła uwagę matki, na kilka powozów zebranych naprzeciw domu, w którym mieszkała pani Robińska. Nie wyszło pięciu minut, kiedy piérwszy z nich zajechał przed sień. Emilia ubrana w białą, ślubną suknią — zarumieniona ze wzruszenia i szczęścia, w towarzystwie kilku młodych panien, wsiadła do

niego; następnym pojechała panna Teresa również w ślubnéj sukni, a udając wstydliwość spuściła oczy, i ręce z niewinnością szesnastoletniéj panienki, zkrzyżowała na piersiach; do innych wsiadły poważne matrony a w ich liczbie pani Robińska. Nakoniec pozostałe zajęli mężczyzni, towarzyszący dwom panom młodym: *Henrykowi* i Ernestowi.

Zdziwienie Laury, widząc tych młodzieńców siedzących przy sobie, kiedy niedawno słyszała o ich poróżnieniu—nie miało granic, napróżno pyta matki, w nadziei, że ta, może prędzéj odgadnie tę zagadkę i wyjaśni jéj ją—lecz pani Wizińska *również* jak córka, niczego domyślić się nie umiała.

— Wiész co moja Lorciu—rzekła nakoniec Wizińska—najprędzéj dowiémy się czegoś, wysławszy służącą, ażeby zapytała się czy to ślub Ernesta, czy Henryka, lub czy obudwóch razem?

— Masz mama racyą—zawołała wsta-

jąc Laura—zaraz powiém Basi, niech idzie i dowié się.

Wysłana służąca wkrótce powróciła z wiadomością, że było to ślub Ernesta z Emilią, i pana Henryka Potrzaskiego z panną Teresą.

— Co!—zawołała zdziwiona Laura—i Henryk się żeni... nie... chyba ci źle powiedziano.

— Wierz mi panna że tak jest—rzekła służąca—przecież mówiłam z kucharką pani Robińskiej, któréj siostra, stara panna, lecz podobno majętna, idzie za pana Henryka.

— Czy słyszysz mamo!—zawołała śmiejąc się sarkatycznie Laura—i Henryk skończył swoją karyerę... ożenił się z jakimciś starym gratem.

— Można to było dawno odgadnąć—odpowiedziała Wizińska;—bo i cóż miał robić nie mając ani majątku... ani żadnego

utrzymania, musiał się żenić... większa szkoda Ernesta.

— Daj mi mama pokój z tym człowiekiem... wszystka krew wzburza się we mnie, na samo o nim wspomnienie.

W téj chwili wszedł Wiziński z gazetą w ręku.

— *Mój mężu* powiémy ci nowość—rzekła pani Wizińska, zwracając się do wchodzącego.

— No i cóż takiego... bardzom rad ją usłyszeć.

— Oto... że Henryk się ożenił.

— Henryk... i z kim?

— Z jakąś starą panną.

— Kiedy tak—powtórzył z szyderczym uśmiechem Wiziński—niechże mu Bóg błogosławi! Ale i ja też przyszedłem do was z wiadomością — mówił daléj, rozkładając gazetę, patrzcie jaki artykuł umieszczono w dzisiejszym numerze.

— Słucham cię *papo*... czytaj....

Wiziński zbliżył się do okna, a poprawiwszy okularów, przeczytał następujące ogłoseenie:

„Dnia *** m. i r. b. odebał sobie życie Edmund Dański, uczyniwszy piérwéj „zapis całego ruchomego i nieruchomego „majątku, *pozostałym* dwóm synom swéj „*siostry*, którzy dotąd *znani* byli pod imie„nami Konrada i Leona Robińskich. Przy„czyna samobójstwa nie wiadoma, przybo„czny bowiem jego lékarz doktór Hoeckel, „którego zeznania, jak się zdaje, podały „broń mordeczą do rąk Dańskiego, uszedł „z więzienia w którém osadzony został.”

Takim sposobem Konrad dotrzymał swéj obietnicy, przez niego bowiem medyk uwolnionym został, również Konrad postarał się o ściągnięcie wszelkich dowodów potępiających doktora i Mateusza, okazując jedynie światu ostatnie pismo Dańskiego, mianujące go spadkobiércą i dziedzicem.

Hoeckel ujrzawszy się wolnym, unikając odpowiedzialności do jakiej mógł być pociągniętym, porzucił Polskę i udał się za granicę, gdzie wkrótce zrobił sobie wielką sławę.

* * *

Grom piorunu nie mógłby bardziej porazić Laurę, jak ją dotknęły słowa powyższego ogłoszenia. Myśl że Konrad, ten Konrad, który gdyby była chciała, mógłby był zostać jej mężem—otrzymał tak wielki majątek, udręczyła ją do głębi duszy, wywołując łzy i narzekania na swój nie rozsądek, że nie postarała się o dłuższe zatrzymanie przy sobie młodzieńca.

— Ale nie — rzekła nakoniec — to być nie może, ażeby on mnie zupełnie zapomniał, pewno tylko dla uczynienia mi na złość, udaje że go zajęła Zofia, ale ręczę niech tylko okażę się mu przychylniejszą, a wnet ujrzę go przy swoich nogach... Wszak prawda mamo?

— Być może.

— Nie może, ale musi... Bo doprawdy nie wiém, chyba bym się zabiła, gdyby tak wielki majątek Konrada, miała otrzymać inna a nie ja... Tymbardziéj, gdy on go prawie przezemnie otrzymał.

— Jak to przez ciebie?

— Prosta rzecz, ja bowiem napisałam list do Dańskiego, donoszący mu o romansie żony, a tym sposobem poróżniłam ich z sobą.

— To jeszcze nie jest powodem śmierci Dańskiego.

— Prawda... lecz jakiż inny być by mógł?

— Jaśnie panie—rzekł lokaj otwiérając drzwi—kazano mi panu oddać.

I położył przed Wizińskim jakiś papiér.

Ojciec Laury odwinął go, rzucił okiem, i rzekł, zwracając się do żony i córki.

— Oto jeszcze jedna wiadomość, lecz

prawdę powiedziawszy nie koniecznie dla was przyjemna.

I podsunął przed oczy Laury bilet zapraszający na zaślubiny Konrada z Zofią.

Zaledwie Laura poznała o co idzie, kiedy porwały ją spazmy i migrena, a upadając na krzesło, wykrzyknęła:

— A więc wszystko skończone... nie mam już żadnego kochanka... muszę zostać starą panną... stara panna... ach mój Boże!... mój Boże!... ja chyba oszaleję.

— Cicho bądź... nie krzycz—rzekł Wiziński—kiedy sama narobiłaś głupstw, nie powinnaś więc narzekać... twoje wrzaski nic ci nie pomogą.

I trzasnąwszy drzwiami wyszedł z salonu.

Laura zemdlała.

Matka rzuciła się do córki, ażeby ją otrzeźwić.

*
* *

Rzeczywiście Konrad żenił się z Zofią—

tak nagle zbogacony, śmiało już mógł oświadczyć się Zofii i żądać jéj ręki—rozumie się że nie został odrzuconym. W wigilią ślubu brata powrócił Leon z więzienia, uwolniony z niego za wpływem Konrada. Widać było wielką w nim odmianę, jaka stała się zupełną, kiedy Konrad ożeniwszy się, i na dal pozostawił Leona przy sobie, ażeby zapatrując się na jego postępowanie, w zupełności dokonać poprawy młodzieńca. Zwolna Leon przywykał do towarzystwa brata i Zofii, zaprzestał dawnych wycieczek, a pojąc się urokiem rozmowy i tkliwą dla niego przyjaźnią Zofii, stopniowo czuł powstającą w swéj duszy namiętność, jaką z początku wziął tylko za braterskie przywiązanie, które jednak co chwilo stając się silniejszém całą jego opanowało istność. Aby więc nie wystawić się na srogie walki, jakie musiałby znieść chcąc przytłumić w swém łonie miłość dla bratowéj, wolał zupełnie opuścić Warsza-

wę a wszedłszy do wojska, poszedł na Kaukazie szukać otuchy dla swojego serca. Wkrótkim czasie dzienniki, brzmiały odgłosami pochwał oddawanych waleczności młodego oficera.

Nie mam potrzeby powiadać, jak szczęśliwą była Emilia, pędząc życie obok ubóstwionego męża; również z jaką rozkoszą zapatrywała się pani Robińska na pomyślność swych dzieci.—Nie takim był los Henryka, on, który żeniąc się, sądził, iż zagarnie wianem żony, okropnie się zawiódł, albowiem Teresa, nie tylko, iż nie oddała mu do rąk posagu, ale jeszcze ujarzmiła go do tego stopnia, iż biedny lew stał się zupełnym osłem, powolnym na rozkazy i skinienia swéj pani. Nie raz jeszcze wspominał on sobie dawniejsze życie i wzdychał, ale wzdychał nawet skrycie, lękając się, ażeby Teresa nie obarczyła go wyrzutami: że ją nie kocha... że nie jest z nim szczęśli-

wą... i t. d. w czém języczek staréj panny był bardzo biegłym.

Pieroński już na zawsze pozostał u Bonifratrów, żadne lekarskie środki nie mogły go wyléczyć, kiedy jego żona, sama będąc przyczyną nieszczęść męża — i śmierci swéj córki, doznała wyrzutów sumienia, jakie nie dały jéj pokoju, i uczyniły życie do tego stopnia nieznośnem, iż by się z chęcią go wyrzekła. Smiérć jednak była nie ubłaganą i oszczędzała ją, skazując tę nieszczęśliwą na późny już żal, i srogie zgryzoty.

Nie na długo Baron Karwicz był wiernym swéj żonie — wkrótce odezwały się w nim dawne namiętności, i baron znowu rozpoczął przeszłe, rozwięzłe swe życie. Wkrótce poznał on Konstancyą, która po stracie Łubowskiego szukając pociechy, z chęcią zgodziła się na nowe związki z Karwiczem: Aniela wiedziała o niestałości męża, mało jednak ona ją obeszła, daleko cięższéj

dla niej było, znosić ciérpki humor i częste grubijaństwa swojego małżonka. Kryjąc udręczenia w głębi duszy—Aniela, nie poznana, nie pojęta, niknęła powolnym, stopniowym skonem: aż suchoty wdarły się do jéj łona a odbiérając życie, uwolniły ją od tak srogich ciérpień. I Aniela umarła, lecz umarła szczęśliwa myślą, że jéj rodzice nie doświadczą więcéj nędzy i niedostatku.

Wspaniały nagrobek wystawił Karwicz swéj żonie,—pod bogatą alabastrową urną, na Powązkowskim smętarzu, znalazła ona dopiéro szczęście i pokój, jakich napróżno szukała na ziemi.

Po śmiérci żony, Karwicz, ulegając namowom Konstancyi, z nią razem wyjechał do Paryża, gdzie dogadzając nadzwyczajnym wymaganiom Konstancyi, wkrótce ujrzał się bez majątku, tak, iż przymuszonym był szukać schronienia w szpitalu.

Gustaw naśladował ojca, lecz młodszy od niego, wszedł w towarzystwa młodych,

bogatych, najrozwięzlejszych ludzi. Z niemi razem dopuszczał się tysiącznych nadużyć, aż pewnego dnia, pokłóciwszy się o jakąś miłosną intrygę, w czasie zwady, uderzony butelką w głowę, na miejscu ducha wyzionął.

Aurelia, długi jeszcze czas grała rolę lwicę—kiedy jednak, jak mówią: „wyszła z mody" wtedy porzuciła nie umiejącą się już poznać na niej Warszawę i wyjechała do Włoch.

Teodor i Szkapa, w kilka miesięcy po uwolnieniu Leona, również wypuszczonemi zostali, niedługo jednak za nowe nadużycia powtórnie w więzieniu osadzeni, z jakiego nie prędko już wyjść mieli.

Dla uzupełnienia wypadków, winienem dodać, że Laura dotąd jeszcze jest do wzięcia, wprawdzie, skończyła już lat dwadzieścia sześć—alež przecie i gruszka im dojrzalsza tym lepsza, może więc który z was

łaskawi czytelnicy, zechce się nad nią zlitować i zażądać jéj ręki.

Ręczę za skutek.

Koniec.

SPIS ROZDZIAŁÓW
TOMU SZOSTEGO.
